

JANA FREY

W CIEMNOŚCI

Prawdziwa historia Leonii

Tytuł oryginału

Der verlorene Blick: Leonies Geschichte; Ein Mädchen erblindet

PROLOG

Leonia jest ładna. Kiedy widzę ją po raz pierwszy, mamy za sobą już trzy nieudane próby spotkania, gdyż dziewczyna za każdym razem w ostatniej chwili je odwoływała.

Jednak tym razem nie uczyniła tego i umówiliśmy się we włoskiej lodziarni w centrum miasta.

Gdy wchodzę do środka, Leonia już na mnie czeka. Od razu ją zauważam. Siedzi sama przy jednym z małych stolików barowych, opierając podbródek na dłoniach. Wygląda tak, jakby obserwowała grupę dzieci i młodzieży, pędzącą na deskorolkach i rolkach zatłoczonymi chodnikami.

Włosy Leonii są obcięte na języka i ufarbowane na jasny blond. Na nosie widnieje kilka piegów, a oczy zasłaniają okulary przeciwsłoneczne w stylu facetów z Blues - Brothers.

Paznokcie ma pomalowane na zielono i nosi starą, spraną kurtkę dżinsową z wysoko podwiniętymi rękawami. Z lewego ucha dziewczyny zwisa kolczyk przedstawiający figurkę Barta Simpsona, a w prawym widnieje rząd pięciu małych kolczyków ze srebra, tzw. wkrętek.

Mimo to trudno nie zauważyć, że Leonia jest niewidoma. O jej krzesło oparta jest biała laska, a na ramionach, nad podwiniętymi rękawami kurtki ma żółte opaski z trzema czarnymi punktami, które razem tworzą trójkąt.

Spóźniłam się kilka minut, ponieważ przyjechałam samochodem i długo szukałam miejsca na parkingu.

Podchodząc do stolika, przy którym siedzi Leonia, widzę, jak prawą ręką otwiera blat swojego kolorowego zegarka i opuszkami palców błyskawicznie dotyka tarczy ze wskazówkami.

- Cześć, Leoniu! - witam się i przepraszam za spóźnienie.

- Cześć - odpowiada, obracając głowę w moją stronę i posyłając mi uśmiech.

Siadam, a dziewczyna wydaje się w milczeniu mnie lustrować. Nagle zdejmuje swoje ciemne okulary i zawiesza je za dekolt T - shirtu.

- Noszę je nie tylko dlatego, że jestem niewidoma - wyjaśnia. - To znaczy, nosiłam je już przedtem. Mój brat przywiózł mi je z Ameryki, był tam w ramach szkolnej wymiany.

Wzdycha.

Przyglądam się jej ładnej, bladej, poważnej twarzy. Ma niezwykle długie, proste rzęsy. Jej powieki mrugają i wydają się bardzo delikatne.

- Dziwne, że myślę o moim starszym bracie - kontynuuje Leonia i znów wzdycha.

- Dlaczego? - pytam.

Dziewczyna marszczy czoło i milczy przez chwilę. - Ma na imię Siemen - mówi w końcu. - I jest ode mnie dwa lata starszy. Wcześniej dość często się kłóciliśmy, choć oczywiście rozumieliśmy się też dobrze, nawet bardzo dobrze. Siemen zawsze był dla mnie ważny - ale teraz, dziwnym trafem, on jest pierwszą osobą, której twarzy nie potrafię sobie dokładnie przypomnieć.

Leonia, zatopiona w myślach, bębni palcami po blacie małego stolika. - To następowało stopniowo, niezauważalnie. Zorientowałam się, że wspomnienie jego twarzy coraz bardziej i bardziej oddala się. To było straszne. Straszne, bo, kiedy ten proces raz się zaczął, nie można już było go zatrzymać.

Leonia bez trudu sięga po swoją szklanę z colą i wypija łyk. - Na szczęście mam w głowie jeszcze twarze moich rodziców i małego braciszka. Nazywa się Grischa i ma dopiero siedem lat.

Leonia jest niewidoma od dwóch lat. W ciągu następnych tygodni opowiada mi o swoim życiu. Nasze rozmowy zawsze nagrywam na małym magnetofonie, robiąc kopię każdej gotowej taśmy dla Leonii.

- Przeszłam przez piekło. Wtedy - wspomina. - Kiedy to się stało i wszystko do mnie dotarło, wolałam umrzeć niż żyć jako niewidoma. Byłam załamana, przerażona i wściekła. Myślałam wówczas, że wszystko się skończyło, a moje życie legło w gruzach.

Dziewczyna milknie na długo, a ja w poprzednich tygodniach poznałam ją na tyle, by wiedzieć, że w takich chwilach nie ma sensu zadawać jej kolejnych pytań.

Kilka dni później dzwoni do mnie i mówi, że na nasze następne spotkanie, zamiast jak zwykle w lodziarni lub w pizzerii na jej ulicy, chce się umówić w nowym domu kultury, niedaleko dworca.

- Siemen mnie przyprowadzi - wyjaśnia. - W piwnicy domu kultury jest mała kawiarenka. Tam się spotkajmy. Kawiarnia nazywa się „Ciemność”. Pracuje w niej mój stary przyjaciel.

Tak więc kilka dni później spotykamy się w piwnicy nowego domu kultury przed wejściem do „Ciemności”.

Do kawiarni wchodzi się przez czarną jak smoła kurtynę z aksamitu. Za nią znajduje się następna czarna kurtyna, ciężka i nieprzenikniona, a dalej widnieje długi czarny korytarz, na który, nie wiadomo skąd, pada smuga światła. Na końcu tego przejścia, którym niepewnie idę, czeka mnie mroczna nicość.

Czuję się dość bezradnie, kiedy zauważam, że znika ciemna ściana, mój dotychczasowy punkt orientacyjny.

- Tutaj jest wolny stół - w tej samej chwili odzywa się spokojnie Leonia, ciągnąc mnie za rękaw kurtki. - Chodź, usiądźmy...

Wokół nas słyszę kilka pojedynczych głosów, czuję słaby zapach dymu papierosowego, a z oddali dociera cicho American Pie Madonny, zupełnie jak w zwyczajnym lokalu.

- Czego się napijecie? - pyta zaraz męski głos, brzmiący bardzo młodo, który dobiega niezauważenie z ciemności.

Leonia zamawia, jak zwykle, colę, ja proszę o herbatę.

- Jak ci się tu podoba? - dopytuje, kiedy nasze napoje stoją już przed nami w zupełnej ciemności.

- Jest dziwnie i troszeczkę nieswojo - mówię i szukam po omacku na niewidzialnym stole niewidzialnej cukierniczki.

Przy tym lekko szturczę niewidzialną szklankę z colą Leonii i zaraz potem niewidzialną popielniczkę.

- Dla mnie jest tutaj tak samo jak wszędzie - odzywa się dziewczyna.

Potem znowu milknie, ja również nic nie mówię. Słuchamy muzyki.

- Teraz już jakoś pogodziłam się z tym, że nie widzę - mówi Leonia. - Ale nadal jest mi z tym ciężko. Czasami czuję się bardzo samotna i wtedy rozpaczliwie tęsknię za światłem. Za światłem, za słońcem, za kolorami. Za błękitem nieba wiosną, za złotem słoneczników latem, za zielenią trawy i tak dalej. Kiedy byłam jeszcze mała, spędziliśmy kilka razy wakacje w Danii. Wyraźnie pamiętam skłębione szare chmury, które wtedy pędziły po niebie; skłębione, szare, postrzępione chmury. Chętnie bym je znów zobaczyła...

1

To było wiosną, dwa lata temu. Zrobiłam wtedy parę rzeczy, których właściwie nie wolno mi było robić.

Zacząło się od tego, że mój tato pod koniec lutego oznajmił, że marzec i kwiecień spędzi w Australii. Marzec zamierzał przepracować, a kwiecień mieć wolny. Mój tato ma na imię Ben i jest dyplomowanym psychologiem. Opiekował się wtedy od czasu do czasu obozem na obrzeżach Melbourne, w którym z dala od złych wpływów resocjalizowano trudną, notowaną już przez policję młodzież z Niemiec. W programie były kursy jeździectwa, nurkowania, żeglowania i temu podobne rzeczy. No i właśnie także grupowe zajęcia terapeutyczne, podczas których wychowankowie mogli pogadać z psychologiem o swoich problemach. Te rozmowy prowadził wtedy między innymi mój tato. A w kwietniu (tak nam przynajmniej powiedział) sam chciał zaznać trochę wolności i zaliczyć kurs nurkowania. Może nawet wyrobić kartę żeglarską jak jego podopieczni. Tylko że on jeszcze nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa. No i nie zamierzał zostać na przedmieściach Melbourne, tylko udać się w podróż po Australii, gdzie go oczy poniosą.

Siemen i ja zgodnie przy klasnęliśmy planom taty. W końcu od małego byliśmy przyzwyczajeni do tego, że ojciec częściej przebywa poza domem niż w domu.

I tak na początku marca tato spakował swoje rzeczy i całą rodziną odwieźliśmy go na lotnisko.

- No to do zobaczenia za jakieś osiem tygodni, moi rozbójnicy - powiedział jeszcze, zanim przeszedł przez barierkę prowadzącą do bramki wylotów. Uścisnął nas po kolei, zresztą nie trwało to długo. W naszej w rodzinie nikt specjalnie nie okazywał uczuć. - Nie róbcie żadnych głupstw, zanim nie wrócę. Zrozumiano?

Kiwnęliśmy zgodnie głowami, Siemen, Grischa i ja, przy czym Siemen przewrócił trochę nerwowo oczyma.

- Ale kiedy pójde do szkoły, to już na pewno będziesz z powrotem? - Grischa zapytał na koniec nieufnie.

- Masz to jak w banku - powiedział tato i tym razem Siemen wprawdzie nie przewrócił oczyma, za to rzucił krótkie znaczące spojrzenie, chcąc dać do zrozumienia, że przecież wszyscy wiemy, ile znaczą obietnice ojca.

Dopiero na samym końcu tato zwrócił się do mamy.

- Na razie, najdroższa - powiedział, uśmiechnął się i palcem delikatnie pstryknął mamę kilka razy w piegowaty nos. - Pilnuj dobrze naszego bezcennego potomstwa...

- Tak dobrze jak zawsze - odparła mama. Jest Angielką i tancerką. Jest bardzo smukła, piegowata i ma bardzo bladą cerę, ale też i piękne zielone oczy z długimi, jedwabistymi rzęsami. Zawsze pachnie trochę mieszanką mięty pieprzowej i lawendy, bo ciągle ssie pastylki miętowe, a do mycia używa wyłącznie angielskiego mydła lawendowego, które regularnie przysyła jej mój angielski dziadek. Moja angielska babcia zmarła już kilka lat temu.

Kiedy pożegnaliśmy tatę, skierowaliśmy się w stronę parkingu, na którym zostawiliśmy samochód.

- Moglibyśmy wejść na wieżę widokową i zobaczyć, jak odlatuje samolot taty - zaproponował Siemen. - Co o tym myślisz, młody Einsteinie?

Tak nazywał Grischę.

Jednak braciszek nic nie myślał. Chciał wrócić do domu, do swoich skrzypiec. Grischa grał na nich jak szalony i miał już na swoim koncie wiele nagród i wyróżnień. Jego celem było zostać światowej sławy skrzypkiem. I, jak uważał jego nauczyciel, malutki, pomarszczony Rosjanin, który - szczerze mówiąc - był już o wiele za stary, żeby uczyć (liczył ponad dziewięćdziesiątkę), Grischa powinien osiągnąć ten cel bez trudu. Mój młodszy brat w ogóle jest szczególnym dzieckiem, dlatego w rodzinie nazywamy go młodym Einsteinem. Gdy miał sześć miesięcy, nauczył się biegać. A kiedy skończył roczek, potrafił już mówić. W wieku dwu i pół roku obsługiwał nasz magnetowid lepiej niż ja czy Siemen. Jako trzylatek umiał płynnie czytać i na własne życzenie dostał swoje pierwsze skrzypce. Malutki model z serii limitowanej - wisi teraz na ścianie w jego pokoju. Poza tym Grischa gra jeszcze na pianinie, a od roku ma własny komputer.

Braciszek jest tak samo chudy, piegowaty i blady jak mama, a na dodatek jest drobnej postury i ma wysoki, przeszywający głos. Ma też, podobnie jak mama, rudawe, kręcone włosy. Jedynie jego oczy są zupełnie inne niż zielone oczy mamy, które z całej rodziny tylko ja odziedziczyłam. Oczy Grischy są ciemnobrązowe jak oczy taty.

Siemen z kolei jest wysoki, mierzy prawie dwa metry. Ma brązowe oczy i jest bardzo przystojny. Już przed kilku laty wiele dziewczyn z mojej klasy w nim się podkochiwało. Kiedy tylko wiosną zaświeci słońce, Siemen już jest opalony, a jego rudawe włosy nabierają jasnego odcienia.

Ja sama nie jestem ani tak drobniutka jak Grischa, ani tak wysoka jak Siemen. Mam najwyżej dwadzieścia piegów, a latem prawie w ogóle nie jestem opalona. Nie jestem tak mądra i uzdolniona jak Grischa ani tak pewna siebie i dowcipna jak Siemen. Moje włosy nie są ani blond, ani rude. Wtedy były zwyczajnie kasztanowe i nie bardzo się układały. Nie gram też na żadnym instrumencie, tylko trochę na flecie, bo uczyliśmy się przez jakiś czas na

muzyce w podstawówce. Nie śpiewam dobrze. Kiedy próbuję, zawsze brzmi to jakoś nieskładnie, bo za każdym razem śpiewam za wysoko albo za nisko. Jedynym naprawdę pięknym szczegółem mojej twarzy były oczy. Moja katechetka z podstawówki powiedziała kiedyś, że wyglądają tak, jak według jej wyobrażeń wyglądają zapewne oczy wieszczek. Kiedy latem pojechałam z Janne, moją najlepszą przyjaciółką, na obóz młodzieżowy, pewien chłopak, starszy parę lat ode mnie, mówił mi wieczorami przy ognisku, że to fantastycznie siedzieć obok dziewczyny o najpiękniejszych oczach. A innym razem przyjaciółka mamy (odwiedziłyśmy ją w Londynie) powiedziała: Jak to dobrze, że choć jedno z was odziedziczyło oczy po mamie. Pamiętam to dokładnie. Miałam wtedy może z jedenaście lat, a ona uśmiechnęła się do mnie i powiedziała: - To byłaby naprawdę wielka szkoda, gdyby te niesamowite oczy któregoś dnia wygasły.

W domu, poza moimi rodzicami, braćmi i mną, jest jeszcze Hobbes, gruby, ciężki kocur, który jest już bardzo stary. Zabraliśmy go ze sobą z Anglii przed kilkanaście laty, kiedy zmarła moja babcia, a Hobbes był tylko ciężarem dla dziadka, który nie lubi kotów. Zwłaszcza że Hobbes nie jest wzorem miłego domowego zwierzątka. Najbardziej lubi święty spokój i ciepły kaloryfer, gdzie najczęściej drzemie. Kiedy mu się przeszkadza, wtedy złości się, drapie, parska i gryzie.

Mamy jeszcze „operkę” Grischy, co roku inną, która troszczy się o młodego Einsteina, kiedy rodzice są w podróży służbowych.

I tak było też tej wiosny. Tato, jak już mówiłam, był w Australii, a mama przyjęła zaproszenie na trzytygodniowe warsztaty tańca w Amsterdamie.

Wtedy „operką” Grischy była akurat Katie Crawford z Ameryki.

- Dasz sobie radę, jeśli wyjadę? - zapytała ją mama.

Katie przytaknęła i było po niej wyraźnie widać, jak się cieszy, że będzie mogła swobodnie spędzić trzy tygodnie z Siemenem.

Żuła ciągle amerykańską gumę w drażetkach, słuchała muzyki country, a na twarzy miała kilka piegów, zupełnie jak moja mama. Jednak w przeciwieństwie do niej Katie chyba nie lubiła swoich piegów, bo każdego ranka pudrowała je starannie w łazience. Poza tym miała czarne loki i często dokuczały jej bóle głowy. A tuż po przyjeździe do Niemiec zakochała się w Siemenie.

- To amerykańskie nieszczęście nie ma za grosz rozumu w tej swojej, trzeba przyznać, ładnej główce - stwierdził na samym początku Siemen. Kiedy tylko wracał do domu, Katie za każdym razem czepiała się go jak rzep psiego ogona.

Grischa, jeśli tylko mógł grać na skrzypcach i od czasu do czasu dostał coś do

jedzenia, nie wymagał wiele opieki i uwagi. Stąd też „operka” każdą wolną chwilę spędzała, czatując na Siemena i podrywając go.

On zaś miał wtedy swoją dziewczynę, ale że była to wiosna zakazanych rzeczy, nadszedł wieczór, kilka dni po wyjeździe mamy, kiedy pocałował Katie. Widziałam, że coś się święci, bo tego ranka „operka” nie zabrała się za swoje piegi, by ukryć je pod grubą warstwą pudru. Po naszym powrocie do domu, siedziała wyczekująco w dużym pokoju, nie przejmując się piegami. Tym razem nie żuła żadnej ze swoich amerykańskich gum.

Rzucając ukradkiem badawcze spojrzenia na Siemena zauważyłam, w jaki sposób na nią patrzy. Nawet szepnęłam do niego ostrzegawczo: - Pomyśl o Tamarze. Wpadnie w szal, jak ją zdradzisz. I pamiętaj, że Katie słucha country, nie ma za grosz rozumu, a poza tym za pół roku wraca do New Jersey...

Wszystko na nic. Byłam w domu tamtego pamiętnego wieczoru. Grischa też. A oprócz nas była jeszcze moja najlepsza przyjaciółka Janne i jej kuzyn, Frederik.

Tego wieczoru zaczęły się dziać zakazane rzeczy.

Noc była dość zimna i wietrzna. Mimo to rozsiedliśmy się w ogrodzie na trawie: Siemen, Katie, Grischa, ja, Janne i jej kuzyn. Frederik miał tyle lat co Siemen: siedemnaście. Znałam go już od lat. Kilka razy w roku przyjeżdżał z Berlina w odwiedziny. Zwykle tylko podczas wakacji i razem ze swoim bratem bliźniakiem, Sebastianem. Jednak parę dni wcześniej Sebastian próbował odebrać sobie życie. Nikt nie wiedział, dlaczego. Frederik też nie miał pojęcia. Po prostu poszedł do lasu, ukrył się w starym, zmurszałym domku na drzewie, który zbudowali z bratem przed laty, i tam na górze połknął garść tabletek nasennych.

- Gdyby go wtedy nie zobaczył ten przechodzień, rzeczywiście by umarł - powiedział Frederik, kręcąc głową.

- Dlaczego to zrobił? - zapytał Siemen.

Frederik wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia - bąknął ponuro. Przyjrzałam mu się badawczo. Janne opowiadała mi wcześniej, że był zrozpaczony, kiedy usłyszał, co się stało. Choć obaj bracia w ostatnich latach słabo się dogadywali. Jako dzieci byli praktycznie nierozłączni, ale z każdym rokiem coraz bardziej się od siebie oddalali. Frederik był wysoki, przystojny i wysportowany. Na dodatek niezły był z niego dowcipniś. Sebastian natomiast był od niego niższy o głowę, miał bladą karnację i spokojne, marzycielskie usposobienie. Do tego jeszcze cierpiał od kilku lat na ciężką chorobę oczu i jego krótkowzroczność z czasem ciągle się pogłębiała. Miał za sobą wiele skomplikowanych operacji oczu, które jednak niewiele pomogły. Janne powiedziała mi, że coraz gorzej widzi przy czytaniu.

Kiedy ostatni raz widziałam Sebastiana, nosił zabawne okulary z grubymi szklami, całkiem jak Woody Allen. Wydawało mi się, że pogodził się ze swoim losem. Jednak teraz próbował odebrać sobie życie, co było straszne.

Frederik nie był w stanie odwiedzić go w szpitalu.

- Płakał jak bóbr - powiedziała Janne. - A potem całymi dniami siedział smutny w swoim pokoju i wpatrywał się w ścianę. Dlatego jest dzisiaj tutaj. Mówi, że potrzebuje zmiany otoczenia...

Dopiero tuż przed północą zorientowaliśmy się, że Grischa jeszcze z nami siedzi, zamiast leżeć już w łóżku, jak przystało na małego zmarzniętego pięciolatka.

- Einstein, marsz do łóżka - zarządził surowo Siemen.

- Kiedy ja nie chcę - odparł Grischa. - Chcę zostać tutaj i słuchać, jak rozmawiacie.

- Już wystarczająco się nasłuchałeś - powiedziałam.

- Wcale nie - zaprzeczył braciszek. - Chcę wiedzieć, dlaczego Sebastian połknął tyle tabletek i co Tamara powie, gdy się dowie, że Siemen całuje teraz Katie, i kiedy Frederik pocałuje wreszcie Leonie, bo tak na nią patrzy cały czas, jakby miał zaraz to zrobić...

Poruszyły mnie te słowa i na chwilę zakręciło mi się w głowie z zakłopotania. Czy Grischa ma rację? Czy Frederik naprawdę tak na mnie patrzy?

- Ej, ciekawski, nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy - powiedziała Janne, podśmiechując się cicho.

- Grischa, marsz do łóżka, natychmiast! - powtórzył z niecierpliwością Siemen. Na to maluch wstał i obrażony pobiegł do domu.

Dawno zapadła noc, na niebie pokazał się wąski, jasny księżyc.

- Zrobiło się dosyć zimno, co? - powiedział starszy brat i, nie czekając na potwierdzenie, poszedł do domu, by po chwili wrócić z kocami w ręku. Zawinęliśmy się w nie jak Eskimosi. Ja schowałam się pod jednym kocem z Janne, a Siemen pod drugim z Katie. Frederik dostał trzeci koc dla siebie. Zauważyłam, że mi się przypatruje i uśmiechnęłam się do niego nieśmiało.

- Piękna noc - powiedział Siemen i pogłaskał Katie po jej ładnym, piegowatym policzku. Zachowywał się tej nocy tak, jakby już zupełnie zapomniał o tym, że uważał ją za „amerykańskie nieszczęście”.

- Ale zimno - dodał Frederik i znów na mnie spojrział.

- Racja. Jest lodowato zimno - zauważyła Janne, wzdrygając się lekko.

- A tu pewnie pełno jest komarów, chrabąszczy i innego robactwa... - wymamrotała Katie, rozglądając się niespokojnie wokół.

- Na komary jest jeszcze za wcześnie, dla chrabąszczy za zimno, a robactwo gnieździ się w śmietniku - odparł Siemen.

- I w hotelu Chat d'Or - dodała Janne, szturchając mnie w bok. - Pamiętasz? Tłuste, obrzydliwe karaluchy na ścianie nad naszymi łózkami.

Przytaknęłam głową. Jasne, że pamiętałam. Ubiegłej jesieni byliśmy na kursie francuskiego w Bretanii i przez tydzień mieszkaliśmy w tanim hoteliku, gdzie roiło się od karaluchów.

Siemen podniósł się i znów poszedł do domu. - Kto ma ochotę na małe *ouzo*^{*1} na rozgrzewkę? - zapytał po powrocie, machając wąską, do połowy wypełnioną butelką.

A ponieważ wszyscy przemarzliśmy do szpiku kości, chętnie przystaliśmy na jego propozycję. Wtedy pierwszy raz w życiu piłam wódkę.

*1 *ouzo* - grecka wódka anyżowa - przyp. tłum.

- Mocna - zauważyłam.

- Ale dobra - powiedziała Janne. - Smakuje jak lukrecja. Przytaknęłam. Po chwili poczułam, że robi mi się troszkę cieplej.

- Einstein nadal nie śpi - odezwał się Siemen. - Siedzi w swoim pokoju na parapecie, słucha Vivaldiego i obserwuje nas przez lornetkę.

- Coś takiego! Co za szalony dzieciak! - przyjaciółka z niedowierzaniem pokręciła głową. - Szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że jest troszeczkę dziwny. Już wtedy, kiedy się urodził, miał takie szczególne, wyniosłe spojrzenie. Powinniśmy go przedstawić kiedyś Dalajlamie. Może jest kimś ważnym w kolejnym wcieleniu albo coś w tym rodzaju...

Roześmialiśmy się.

Frederik wciąż siedział obok mnie. Owinięty w swój koc, patrzył przed siebie. Butelka *ouzo* była teraz pusta. Wypił resztki jednym haustem.

- Robi mi się słabo, ilekroć pomyślę o tym durniu Sebastianie - powiedział nagle, nieco już na rauszu, sądząc po jego głosie. - W głowie mi się nie mieści, dlaczego zrobił takie głupstwo. Jak mogłem nie zauważyć, że dzieje się z nim coś złego...

Frederik spojrzał na mnie, a ja milcząco patrzyłam na niego.

- Jestem starszy od Sebastiana o dwadzieścia dwie minuty - kontynuował, a jego wzrok wydał się nagle taki smutny i zmęczony. - Ludzie, gdyby umarł...

Uderzył pięścią w ziemię i zaczął płakać. Był to cichy, przytłumiony płacz, tak jakby Frederik, zanim wyszła ta sprawa z Sebastianem, dawno nie płakał i wyszedł z wprawy. Objęłam go ramieniem i delikatnie pogłaskałam. Najpierw nie zareagował, ale chwilę później wsparł się na mnie, a ja wślizgnęłam się pod jego koc. Frederik ładnie pachniał. Fajnie było siedzieć tak blisko niego. Wirowało mi troszkę w głowie. W końcu nigdy jeszcze nie piłam alkoholu, jeśli nie liczyć połowy lampki szampana na moich piętnastych urodzinach. Poza tym było już bardzo późno, a dłonie i stopy miałam zimne jak lód.

- Leoniu... - Frederik szepnął mi do ucha. Myślałam, że chce mi coś powiedzieć, ale on urwał i ujął ostrożnie moje ręce swoimi ciepłymi dłońmi.

Nagle pomyślałam o tych wszystkich latach, które mieliśmy za sobą. Znałam Frederika już wtedy, kiedy miał dziury po mlecznych zębach i poobijane kolana latem. Widziałam też jego pierwszy rower wyścigowy, a raz wybudowaliśmy razem z Janne, Sebastianem i Siemenem olbrzymią zaporę na potoku i w ten sposób, przez nieuwagę, zalaliśmy dużą część pola z kukurydzą.

Łapaliśmy razem kijanki, a w któreś wakacje znaleźliśmy w lesie rannego liska i zanieśliśmy go do weterynarza.

- Frederiku, właściwie, jak długo już się znamy? - spytałam cicho. - Chodzi mi o to, ile mieliśmy lat, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy?

- Nie mam pojęcia - odparł. - Na pewno byliśmy mali, a ty w szczególności. Rozczochrany, szczerbaty maluch o naprawdę pięknych, zielonych oczach...

Uśmiechnęłam się, a on ostrożnie zbliżył swoje usta do moich i pocałował mnie.

- I tak was widzę! - ciszę przeszył głośny okrzyk. To był Grischa. - A nie mówiłem, że Frederik pocałuje Leonie?!

W jego głosie brzmiał triumf. Frederik odsunął się nieco.

- Idź w końcu spać, gówniarzu! - zawołał ze złością Siemen.

- Chciałem - bronił się Grischa, a w jego głosie można było wyczuć złość. - Ale zadzwoniła Tamara. I to właśnie teraz, w środku nocy! Przeprosiła mnie i zapytała, czy mnie nie obudziła, a potem powiedziała, że czekała na ciebie cały wieczór, bo byliście umówieni. Ale ty ani nie przyszedłeś, ani nie zadzwoniłeś. Niezłe się wkurzyła, kiedy jej powiedziałem, że siedzisz z Katie w ogrodzie.

Siemen zmieszał się. - Powiedziałeś jej? - zapytał.

- Tak, ale nie zdradziłem jej, co robicie; no, że się całujecie. Kiedy Tamara chciała wiedzieć, co robicie w ogrodzie, odparłem, że tylko tak sobie siedzicie i właściwie nic nie robicie...

Siemena jednak to najwyraźniej nie uspokoiło.

Grischa siedział jeszcze chwilę na parapecie i obserwował nas przez lornetkę. Potem z hukiem zamknął okno i zgasił nocną lampkę.

- Popatrz, Janne zasnęła... - wyszeptala ze swoim amerykańskim akcentem Katie, wskazując na moją najlepszą przyjaciółkę, która leżała teraz zwinięta jak dziecko na trawie i cicho pochrapywała.

- Ja też jestem zmęczony - przyznał Siemen i zaczął się podnosić, by wzorem Grischy i Janne, zakończyć ten wieczór. Potem jednak rozmyślił się i usiadł z powrotem na trawie.

Wreszcie zasnęliśmy wszyscy. Siemen z Katie, która właściwie miała pilnować Grischy, leżeli obok zdziczałego krzaku oleandra, a ja z Frederikiem - pod naszą smukłą, piękną gruszą.

Frederik dalej trzymał mnie za rękę, a ja czułam, że naprawdę się w nim zakochałam.

Miałam nadzieję, że Sebastian upora się ze swoimi problemami i poczuje się lepiej.

Obudziłam się, kiedy na dworze było już jasno. Zaspana i przemarznięta rozejrzałam się dookoła, unosząc się nieco. Siemen leżał na plecach kilka metrów ode mnie i głośno chrapał. Za to nasza „operka” z New Jersey gdzieś znikła. Frederik jednak był tu jeszcze. Jego ręka już nie trzymała mojej, był obrócony na bok, a na lewym policzku miał odcisniętą trawę. Spał mocnym snem i chrapał tak głośno jak Siemen i Janne. Przyjaciółka nadal leżała zwinięta w kłębek, zupełnie tak jak przed kilkoma godzinami, kiedy nagle zasnęła.

Wstałam pospiesznie i poszłam do domu, bo przemarzałam do szpiku kości. Grischa siedział samusieńki w kuchni przy stole i jadł swoje ulubione śniadanie: dużą miskę płatków kukurydzianych z mlekiem kakaowym, a do tego małą sałatkę z cebuli, ogórków i marynowanych małych kolb kukurydzy.

- Zrobiłem już kawę - obwieścił.

Uśmiechnęłam się do niego, bo niezmiennie robiły na mnie wrażenie jego samodzielność i perfekcjonizm.

- Dzięki - odparłam, podchodząc do ekspresu. Nalałam sobie filiżankę kawy i z poczuciem winy usiadłam koło braciszka. Jednak on zaraz wstał od stołu, starannie poukładał brudne miski w zmywarce do naczyń i wbił się w swoją kurteczkę.

- Idę - oznajmił. Grischa chodził wtedy do przedszkola dla uzdolnionych dzieci, a ponieważ znajdowało się ono na drugim końcu miasta, pod nieobecność rodziców zabierał go konduktor szkolnego autobusu.

- A gdzie jest Katie? - zdążyłam za nim jeszcze krzyknąć.

- Robi sobie kąpiel na górze w łazience i użala się nad sobą - odkrzyknął z zadowoleniem Grischa.

- Użala? A to czemu? - spytałam zdziwiona.

- Powiedziała, że dzisiaj rano przebiegł jej po twarzy wielki, włochaty robal - zachichotał braciszek, po czym znikł w ogródku.

Podeszłam do okna i wyjrzałam za nim. Widziałam go wtedy po raz ostatni i nigdy nie zapomnę tego widoku: Grischy w podskokach galopującego przez ogród, jego rudawych, rozwianych włosów, małych stopek ubranych w różnokolorowe skarpetki, i sznurówki u lewego trampka, którą źle zawiązał, więc się rozwiązała...

Potem obudzili się inni. Najpierw w kuchni pokazała się Janne. Szczękając zębami oświadczyła, że nigdy w życiu tak nie zmarzła, jak tego ranka. - Poza tym przez całą noc nie zmrużyłam oka - mruknęła, opadając z jękiem na krzesło.

Zaśmiałam się pod nosem. - Całkiem niezłe chrapałaś jak na kogoś, kto nie zmrużył oka przez całą noc - przygadałam jej, sadowiąc się obok.

- Ja nigdy nie chrapię - odparła z godnością. - Chrapanie jest niekobiece i pozbawione erotyzmu.

- Co za głupoty! - powiedziałam i postukałam Janne w czoło. Zaraz po tym weszli do domu Siemen z Frederikiem.

- Mówiłeś, że jest jeszcze za wcześnie na inwazję komarów - Frederik przypomniał mojemu bratu z wyrzutem, drapiąc się jednocześnie po prawym policzku.

Siemen przytaknął. - No tak - przyznał. - Komary zawsze pojawiają się na początku maja.

- Widać jesteś niedouczonego entomologiem - burknął chłopak, smutno oglądając opuchliznę na prawym kciuku. - Jestem cały pokąsany. Czuję się tak, jakby dopadła mnie chmara wygłodzonych wampirów...

- To nie mogły być komary - obstawał przy swoim Siemen.

- Inwazja komarów zaczyna się w tym ogrodzie najwcześniej na początku maja. Mówię ci, w końcu znam się na rzeczy...

W tym momencie na dół zeszła Katie. Wyglądała na zrezygnowaną. - Mówiłeś, że nie ma żadnego robactwa - powitała chmurnie Siemena.

- O, najwyżej kilka nieszkodliwych stonóg i żuczków, więcej robaków nie znajdziesz na początku kwietnia - przyznał szyderczo brat i sięgnął ręką po płatki miodowe, które Grischa zostawił na stole.

- I grube pająki, które łązą jeden za drugim, jakby gdzieś wędrowały - poskarżyła się Katie, opadła na krzesło i wzięła sobie kilka płatków kukurydzianych.

Frederik usiadł koło mnie.

- Hej, Leoniu - przywitał się cicho. - Brakowało mi ciebie, kiedy się obudziłem.

Uśmiechnęłam się do niego, a on położył swoją rękę na mojej. Było to bardzo miłe uczucie.

- Zdążymy jeszcze wziąć prysznic? - zapytała Janne.

Spojrzałam na zegarek i skinęłam głową. Zrobiłam to zresztą niechętnie, bo w ogóle nie miałam ochoty iść tego dnia do szkoły.

W tym momencie zadzwonił telefon. Poczekałiśmy, aż włączy się automatyczna sekretarka. Okazało się, że dzwoni Tamara. Zimnym głosem zażądała, aby Siemen natychmiast podniósł słuchawkę.

„... bo jeśli rzeczywiście zadajesz się z tą bezmózgową amerykańską «operką», to

przynajmniej miej odwagę przyznać się do tego, ty draniu - w głosie Tamary słychać było gorycz. - Twój braciszek zeszłej nocy zdradził mi kilka ciekawych rzeczy”.

Potem nagle sekretarka wydała długi dźwięk, Tamara gwałtownie przerwała połączenie.

- Co znaczy „bezmózgową”? - zapytała podejrzliwie Katie.

- Nic - skwitował pospiesznie Siemen.

- No, nie do końca znaczy „nic” - dodał Frederik, marszcząc czoło, bo właśnie odkrył na swoim prawym policzku drugi bąbel po ukąszeniu komara.

Siemen rzucił mu błagalne spojrzenie. - ok, może na początku kwietnia znajdzie się kilka komarów żądnych krwi - przyznał skruszony i przez stół klepnął przyjaciela pojednawczo w ramię. - Ale że wszystkie bez wyjątku rzuciły się tylko na ciebie, to już nie moja wina - dodał szybko.

W tej chwili ponownie zadzwonił telefon. I znów dla ostrożności zczekaliśmy, aż włączy się automatyczna sekretarka. Tym razem dzwoniła nie Tamara, tylko moja przyjaciółka Lara, żeby mi przypomnieć, że dzisiaj mamy poprawkę testu z chemii, który pisaliśmy w zeszłym tygodniu.

Obydwie z Janne spojrzałyśmy po sobie ze zgrozą. - Na śmierć zapomniałam o tym głupim teście - bąknęła w końcu przyjaciółka.

Znowu rozległ się dzwonek telefonu. Czekaliśmy w napięciu, podczas gdy automatyczna sekretarka po raz trzeci odezwała się cierpliwie, że nikt z nas nie może teraz podnieść słuchawki i żeby zostawić wiadomość.

- Jeśli to znowu Tamara, skreć jej kark - burknął ponuro Siemen. - W takich warunkach człowiek nie może spokojnie zjeść śniadania...

Tym razem to nie była Tamara. Dzwoniła matka Frederika, by powiedzieć mu, że jego brat czuje się już lepiej i by Frederik wrócił jak najszybciej do domu, żeby odwiedzić w szpitalu Sebastiana.

„...Pytał o ciebie już kilka razy - mówiła dobitnie. - Szpitalny psycholog uważa, że to bardzo ważne, żebyś teraz był przy nim...”

Spojrzałam na Frederika, kiedy wyłączyła się sekretarka i w kuchni zrobiło się całkiem cicho.

- Całe szczęście, że już z nim lepiej - Janne przerwała w końcu milczenie. Przytaknęliśmy.

- W takim razie wracam dzisiaj do domu - mruknął Frederik, spoglądając na mnie z boku. Pomyślałam o naszym pocałunku w ogrodzie i nagle zapragnęłam z całego serca, żeby

Frederik mógł jeszcze trochę u nas zostać. Nasze spojrzenia spotkały się i byłam pewna, że czuł to samo co ja.

Niesamowite, że zakochałam się akurat w kimś, kogo już od tak dawna znałam!

Siemen zaczął sprzątać ze stołu, a ja po ostatnim łyku kawy dołączyłam do niego. Kiedy sięgnęłam po spodeczki, a Frederik w tym samym momencie chwycił za maselniczkę, nasze ręce spotkały się niechcący. Popatrzyliśmy na siebie i zaraz potem odwróciliśmy wzrok. Jednak gdy wkładałam spodeczki do zmywarki, a Frederik kładł obok filiżanki, nasze dłonie znów się dotknęły.

- Leonia o oczach zielonych jak szmaragdy - powiedział cicho i uśmiechnął się do mnie.

Z biciem serca odwzajemniłam uśmiech.

- Leonia o oczach zielonych jak szmaragdy. Będzie mi ciebie brakowało po powrocie do Berlina.

Zaraz potem podszedł do telefonu i wykręcił numer swojej mamy. Nie spuszczał mnie z oczu podczas rozmowy z nią. - Super, że Sebastian czuje się już lepiej - powiedział do słuchawki. - Tak, przyjadę go odwiedzić. Ale dopiero jutro, w porządku?

Odłożył słuchawkę, podszedł do mnie, ujął moją twarz w dłonie i pogładził kciukami moje usta.

- Myślę, że naprawdę się w tobie zakochałem, Leoniu - wyszeptał i pocałował mnie po raz drugi.

I tak rozpoczęło się przedpołudnie. Do szkoły nie poszliśmy. Telefon dzwonił jeszcze po raz czwarty i tym razem na automatycznej sekretarce nagrała się mama. Chciała wiedzieć, czy u nas wszystko w porządku i czy ja z Siemenem jesteśmy w szkole, a Grischa w przedszkolu. Taki kontrolny telefon wykonywała co ranka.

„Katie, gdzie się podziewasz? - zapytała na koniec mama. - Proszę, weź dzisiaj po południu Grischę do parku. Potrzebuje trochę świeżego powietrza, a jak się go nie zmusi do wyjścia, to siedzi od świtu do nocy przy komputerze albo gra jak opętany na skrzypcach...”

Po wydaniu tego polecenia rozłączyła się.

- Tak jakby tylko nasz młody Einstein potrzebował świeżego powietrza! - Siemen krzyknął wzburzony z pokoju, gdzie leżał razem z Katie na włochaczu i czytał jej urywki z *Wojny i pokoju*, a ona z głową na jego kolanach puszczała bańki mydlane. - O nas to już nikt nie pomyśli!

Janne, Frederik i ja byliśmy w kuchni. Podczas gdy przyjaciółka bezskutecznie usiłowała obłaskawić ponurego Hobbesa, ja z Frederikiem siedzieliśmy zwyczajnie obok

siebie na ciepłej, włączonej zmywarce do naczyń. Rozmawialiśmy o Sebastianie, próbując dociec, co się z nim stało i jak mogło dojść do tego, co zrobił.

- Zgadzam się, odrobina świeżego powietrza dobrze by nam zrobiła - powiedział Frederik w odpowiedzi na okrzyk Siemena z pokoju. - Co ty na to, Leoniu?

Wzruszyłam ramionami, bo jeśli o mnie chodziło, mogłam tak jeszcze godzinami siedzieć z nim na huczącej zmywarce.

- Może wybierzemy się do lasu. Jeździliśmy tam w zimie na sankach - zaproponował Frederik. - Wiecie, gdzie... Droga z olbrzymim kamieniołomem z miejscem widokowym - dodał, przymykając oczy. - Ludzie, jak tam jest pięknie!

Przytaknęłam i w tej chwili do kuchni weszli Siemen i Katie.

- No już, zbierać się! Zrobimy sobie wszyscy fantastyczną wycieczkę do kamieniołomu w lesie - powiedział Frederik i zeskoczył ze zmywarki.

- Ale tam nie dojeżdża żaden podmiejski autobus - zauważyła Janne.

- Rzeczywiście, tylko ten fatalny międzymiastowy - odparł Siemen, krzywiąc twarz.

- A ten kosztuje fortunę i wlecze się w nieskończoność, zanim minie wreszcie wszystkie przedmieścia...

- Nie moglibyśmy pójść do parku i rozłożyć się na mostku nad stawem z kaczkami? - zaproponowałam. - Tam też jest świeżego powietrza od groma.

Jednak reszcie ten pomysł nie przypadł do gustu. - W parku jest nudno - skwitował mój brat. - Przed południem biegają tam chmary jamników i pudli. Ciągną na spacer kilku starszych emerytów.

- A co z waszym autem? - zapytała nagle Janne.

- Co ma być? Stoi w garażu - odparłam. Tato nie zabrał samochodu do Australii, a mama poleciała do Amsterdamu samolotem.

- Co nam po samochodzie, kiedy nikt z nas nie prowadzi? - zapytałam.

- A Katie? - wykrzyknęła Janne.

Faktycznie, Katie miała już dziewiętnaście lat i amerykańskie prawo jazdy, które było ważne także w Niemczech. I nawet kilka razy jeździła. Podrzuciła Grischę na lekcję skrzypiec, a innym razem, kiedy Hobbes skaleczył sobie łapę, zawiozła go do weterynarza.

- No to na co jeszcze czekamy?! - krzyknął zadowolony Siemen i chwycił z wieszaka kluczyki od samochodu.

Pojechaliśmy. Brat pilotował Katie w centrum, a gdy wyjechaliśmy za miasto, do lasu było już niedaleko. Siedziałam z Frederikiem z tyłu, opierając się o jego ramię. Czułam się cudownie.

W lesie było przepięknie. Biegaliśmy tam i z powrotem przez zarośla, a ja z moim przyjacielem zebrałam kilka szyszek i kamyków, które Frederik postanowił zanieść swojemu bratu do szpitala. Na koniec znalazłam jeszcze całkiem czarny kasztan z zeszłego roku. Miał długi korzonek i gdyby go się teraz posadziło w ustronnym miejscu, wyrosłoby z niego drzewo.

- Podaruj go Sebastianowi ode mnie - powiedziałam do Frederika i podałam mu kasztan.

Staliśmy tak, kiedy inni nas wyprzedzili. Nagle przyjaciel objął mnie ramieniem i mocno przyciągnął do siebie.

- Leoniu - szepnął, a ja pomyślałam, jak wtedy w naszym ogrodzie, że zaraz coś mi powie. Jednak myliłam się.

- Co chciałeś powiedzieć? - zapytałam w końcu.

- Nic - odparł i uśmiechnął się, jednak jego głos brzmiał poważnie. - Chciałem tylko wypowiedzieć twoje imię. Lubię je. Leonia, Leonia, Leonia...

I znowu się pocałowaliśmy. To był prawdziwy, długi pocałunek. Frederik delikatnie wsunął mi język do ust. Cała drżałam, a on głaskał mnie po plecach, nie przestając całować.

W pewnej chwili usłyszeliśmy, jak inni nas wołają. Wyswobodziłam się z objęć Frederika. Uśmiechnęliśmy się do siebie, a potem dogoniliśmy resztę. O wiele za wcześnie musieliśmy wracać do domu. Zaczęło padać. Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, czuliśmy na twarzach delikatne krople wiosennego deszczu.

- Jest już wpół do czwartej. Musimy się spieszyć - powiedziałam, zerkając na zegarek.
- O czwartej wraca Grisca.

Katie uruchomiła silnik, Siemen włączył radio i poszukał stacji.

- O, puszczają Boba Marleya - zawołała zachwycona Janne. Kochała Boba Marleya. - Siemen, podkreć! - poprosiła.

Mój brat spełnił jej prośbę. Janne i ja śpiewaliśmy, Frederik głaskał mnie po rękę, całując od czasu do czasu w szyję. Padało coraz mocniej i Katie włączyła wycieraczki.

Deszcz uderzał z łoskotem o szybę. Wyglądało to niesamowicie: ogromne krople spadające na przejrzystą szybę i rozpryskujące się na niej w strużki wody, które wycieraczki zsuwały na boki. Wszystko w błyskawicznym tempie, raz po raz.

- Prawdziwe oberwanie chmury! - zawołał z zachwytem Siemen. Zawsze lubił taki mocny deszcz.

- Siemen, wycieraczki! - krzyknęła nagle Katie. - Nic nie widzę...

Rzeczywiście, nic nie było widać: ogromne krople deszczu niczym pociski spadały

dalej na przednią szybę, ale wycieraczki stały w miejscu. Jechaliśmy dość szybko i światła reflektorów jadących z naprzeciwka samochodów oślepiły nas i razem z deszczem na szybie zostawiały rozmyty obraz.

Drzewa, reflektory, krople deszczu, mgliste auta - a potem głośny huk.

Gwałtownym ruchem podrzuciło mnie z mojego miejsca na tylnym siedzeniu.

Przerażona otworzyłam usta, żeby krzyknąć na Katie, by zahamowała i zjechała na pobocze. Nie byłam przecież zapięta pasami. Jednak dziwnym trafem nie mogłam wydobyć z siebie głosu. A potem poczułam, jak z mojego ramienia ześlizguje się ręka Frederika. Chciałam po nią sięgnąć, aby się jej przytrzymać. W ogóle chciałam być blisko Frederika, by wziął mnie w ramiona i pocałował, jak zrobił to w lesie.

Nagle poczułam ból w twarzy, taki krótki, jakbym uderzyła się w głowę. - Aua... - jęknęłam. Chciałam odwrócić się do Frederika i Janne, ponieważ wydawało mi się, że siedzą tuż za mną. Jednak gdzieś zniknęli. Siemen i Katie też przepadli. Właściwie gdzie byłam? Czy to jeden z głupich żartów Siemena? Powinien dać sobie z tym spokój. W końcu spieszyliśmy się do domu. Grischa wrócił o czwartej. Czy chociaż zabrał ze sobą do przedszkola klucz? Braciszek miał swój własny klucz od domu, zawieszony na jaskrawozielonym sznurku, na którym dyndał też śmieszny plastikowy dinozaur. Ciągle jeszcze śpiewał Bob Marley, dobitnie i wesoło.

- Mamo! - zawołałam przestraszona. Wstrząsnęło mnie, bo nie wiadomo czemu krzyk wywołał ból w mojej głowie. Mimo to nie przestawałam krzyczeć. - Mamo! Mamo! Mamo!...

Nagle coś we mnie pękło i wokoło zrobiło się tak jasno, że musiałam zacisnąć powieki. Co za okropne światło! Kto mnie tak oślepił? Potem zrobiło się ciemno. Przeraźliwie ciemno. Smolicie czarno.

Było już po wszystkim.

Długi, wąski, zimny korytarz. Jak w tunelu strachu. Ciemność i chłód. I głos wołający moje imię. Leoniu! Leoniu! Leoniu! Leoniu! Leoniu! To na pewno Frederik. Tylko on wypowiada moje imię jedno po drugim. Jednak Frederik jest gdzieś w tyle, za mną. Nie mogę do niego wrócić. Także Siemen i Janne są za mną. I w dziwny sposób także Grischa i moi rodzice. Tato i mama. Ale przecież oni są daleko stąd! A może nie? Na szczęście już nie pada. Skąd się bierze ten chłód? I znowu ten głos.

Leoni! Leoniu! Leoniu! Leoniu! Leoniu!

Głos, który woła moje imię, nie brzmi jak głos Frederika. Jest w nim strach i podenerwowanie.

Dlaczego właściwie nie mogę odpowiedzieć? Co się dzieje? Może śnię? Może to

wszystko tylko sen ?

Nagle rozlega się przeraźliwy alarm. Taki hałas obudziłby każdego. Niemożliwe, żeby po takim huku ktoś nadal spał jak zabity. Jednak ja nadal śpię. A może już się obudziłam? Słyszę wycie syren.

Coś pada na moją twarz. Może deszcz ? Idę długim ciemnym korytarzem, a jednocześnie czuję, że leżę. Jak to możliwe? Moje nogi są jak ściśnięte kleszczami, więc nie jestem w stanie biec. W ogóle są jakieś dziwne: miękkie i ciepłe, jakby trochę zdrętwiały. A mimo to czuję wyraźnie, że biegnę. Coś mnie pcha do tego, bym biegła tym długim, ciemnym korytarzem. Wiem, że kiedy dotrę do jego końca, wszystko będzie dobrze. Może ja nie idę, tylko unoszę się w powietrzu ? Rzeczywiście. Spoglądam w dół, na nogi i widzę, że wiszę kawałek nad ziemią. Dziwaczne uczucie, ale przyjemne! Śmieję się cichutko.

Jednak naraz coś mnie wstrzymuje. Wbrew sobie kręcę się wkoło. I widzę moich rodziców. Trzymają mnie za ramię i coś krzyczą. Próbuję być bardzo cicho, by ich usłyszeć. Wydaje mi się, że głośno wołają, ale dziwnym trafem w ogóle nic do mnie nie dociera. Dlaczego ? To pewnie przez mój oddech. Po prostu oddycham za głośno. Swoją drogą, dziwne, że można tak głośno oddychać, żeby nie usłyszeć, co ktoś do Ciebie krzyczy. Staram się z całych sił oddychać tak cicho, jak to tylko możliwe - i nagle wszystko zaczyna mnie boleć! Tak bardzo, że chce mi się wyc... Właściwie, co to za ból? Moja głowa. Moja głowa. Moja głowa... Co się z nią stało? Zniknął gdzieś czarny korytarz. Jakby go nigdy nie było.

Ból. Ból. Ból.

Moja mama jest tutaj. Widzę ją i czuję. Czuję wyraźnie zapach mięty pieprzowej z lawendą. Jest taki przyjemny, uspokajający! Mama. Mama. Mama.

Jednak nadal mnie boli.

Moja głowa.

Co mi jest?

Dlaczego mama śpiewa piosenki jak kiedyś, gdy Grischa był jeszcze mały?

„...twinkle, twinkle, little star, how

I wonder, what you are...”

Leoniu! Leoniu! Leoniu!

To głos mojego taty.

Leoniu! Leoniu! Leoniu!

To głos Siemena.

Ktoś płacze. Chyba Grischa. Tylko dlaczego płacze?

Nagle słyszę dźwięk skrzypiec. To też chyba Grischa. Jak on pięknie gra. Napewno

zostanie kiedyś sławnym skrzypkiem. Kochany braciszek.

Leoni, słyszysz mnie?

To głos Frederika!

Pewnie, że słyszę. Dlaczego mój głos nie działa? I gdzie ja właściwie jestem ? Chcę wstać, otworzyć oczy i pójść z Janne do szkoły napisać test z chemii.

Dlaczego nie mogę się podnieść?

Dlaczego nie jestem w stanie nic powiedzieć, otworzyć oczu?

Całe szczęście, że nagle znów mogę się poruszać. Odzyskuję władzę w rękach i nogach.

A więc to tylko głupi sen. Oddycham z ulgą - i znowu głowę przeszywa mi przeraźliwy ból.

Przynajmniej się obudziłam.

Znów jestem.

Jestem.

- Gdzie ja jestem? Macam w pośpiechu śliski, zimny materiał, na którym, zdaje się, leżę. Powietrze wokół pachnie czymś przyjemnym, dobrze mi znanym. Co to za zapach?

- Jestem przy tobie, Leoniu, nie masz się już czego bać - słyszę nagle nieznajomy głos.

Czuję, że zaczynam drżeć. Jednocześnie doznaję olśnienia. To jest zapach szpitala, co do tego nie mam już wątpliwości.

- Czy jestem... w szpitalu? - pytam ostrożnie.

- Tak, miałaś wypadek - odpowiada mi ten sam obcy głos. - Jestem siostra Anja i siedzę przy twoim łóżku.

- Byłam w takim ciemnym korytarzu... - wybełkotałam i zaraz przerwałam, bo nagle głowę przeszył taki ból, że aż zabrakło mi tchu.

- Tak mnie boli... - wyjąkałam. - Moja głowa. Tak... bardzo... boli...

- Wiem, Leoniu - mówi głos niewidzialnej pielęgniarki, a jakaś ręka głaszcze mnie po ramieniu, po rękę.

- Chcę do domu.

- Twoi rodzice zaraz tu będą - mówi miękko siostra Anja. - Na pewno się ucieszą, że wreszcie się obudziłaś.

- Chcę coś zobaczyć - wyszeptałam zrezygnowana. - Dlaczego jest tak ciemno? Czy jest noc?

- Nie, ale masz założony opatrunek na głowie. Możesz dotknąć, o tutaj. Czujesz?

Dwie zimne dłonie chwytają moje rozgrzane ręce, unoszą je wysoko.

Rzeczywiście, mam na głowie opaskę.

- Ale ja chcę coś zobaczyć, muszę coś zobaczyć - wyszeptałam z paniką w głosie.

- Leoniu! - - usłyszałam mamę. Wzdrygnęłam się. Co to był za dziwaczny sen, w którym śpiewała dla mnie kołysankę...

A może to wcale nie był sen? Nagle nabrałam pewności, że mama rzeczywiście dla mnie śpiewała. Dlatego, że byłam chora. Ciężko chora. Ale na co? Co mi dolegało?

- Mamo, moja głowa! Tak mnie boli. Co mi jest? Czy ja umrę? Nic nie widzę...

Nie chciałam tak wybuchnąć, nie chciałam krzyczeć i szlochać. Jednak tak wyszło.

- Mamo! Mamo! Mamo!

- Leoniu, jestem przy tobie!

Z moim krzykiem mieszał się głos mamy, głuchy i bezsilny. Odniosłam wrażenie, że krzyczała tak głośno jak ja.

- Mamo, proszę ściągnij mi tę opaskę!

Ręce mi się trzęsły i nie potrafiłam nad nimi zapanować, a mimo to zdołałam szarpnąć opatrunek na mojej obolałej głowie.

- Tak bardzo boli. Mamo, pomóż mi, rozsadza mi głowę! Moje oczy!

Jak przez mgłę pełną bólu i przerażenia poczułam, że ktoś mnie chwytą i z powrotem kładzie do tego obcego łóżka. Było więcej rąk - złapały mnie za nadgarstki.

- Już dobrze, Leoniu, moja córeczko - powiedziała mama, i teraz to z całą pewnością jej dłonie mnie głaskały. Tak naprawdę, ile osób tu było?

Głaskanie trochę mnie uspokoiło, ale zaraz potem znowu mną wstrząsnęło, bo ponownie ktoś obcy mnie chwycił. Odrzucono kołdrę i coś ukuło mnie w udo.

Noga zaczęła mi drzeć, i to drzenie rozprzestrzeniło się na całe ciało. Drżałam i drżałam. Jednocześnie poczułam, że coś gorącego, co chyba buchnęło z uda, rozeszło się po całym ciele.

- Nie musisz się bać - usłyszałam jakby z oddali głos mamy. Leżałam teraz całkiem spokojnie. Było mi wszystko jedno.

Nagle poczułam się lekka jak piórko. Drzenie ustępowało, aż zupełnie znikło. Odetchnęłam. Ból głowy także zmalął. Czułam się bardzo zmęczona.

- Chce mi się spać - wyszeptałam i zasnęłam.

- Mama? - zapytałam zdezorientowana, kiedy nagle zerwałam się ze snu. Zamajaczyło mi w głowie, że już raz się obudziłam. Wtedy panowała wokoło ciemność i ktoś położył mnie na siłę w obcym, twardym łóżku. Ile czasu minęło od tamtej chwili? Godzina? Dzień? Tydzień? Rok? Wciąż czułam zapach szpitala. Noga mi drżała. Była tu mama i mnie głaskała. Śpiewała też dla mnie, a Grischa grał za skrzypcach. A potem ciągle mnie podnoszono i kładziono do różnych łóżek. Chwyciły mnie straszne bóle. Coś piszczało w różnych odstępach. Były to powolne piski o miłym dla ucha tonie i szybkie, które działały mi na nerwy.

Teraz też coś piszczało gdzieś z tyłu, ale tym razem był to na szczęście cichy, głęboki ton, który mnie nie przerażał i który wydał mi się dziwnie znajomy.

Przy ręce miałam coś zamontowane. Ale co? I dlaczego znów było tak ciemno? A może wciąż było ciemno?

Ostrożnie dotknęłam dziwnego urządzenia na dłoni. Było mocno przyklejone, przynajmniej takie odniosłam wrażenie. Kiedy je nacisnęłam, zabolalo mnie. Dobrze, że chociaż druga ręka była w porządku.

Zmarszczyłam czoło i delikatnie pomacałam się po ciele. Co mi właściwie dolegało?

Ktoś powiedział, że miałam wypadek.

Wypadek.

Zrozpaczona, próbowałam sobie coś przypomnieć. Nagle stanęło mi to przed oczyma: ponownie usłyszałam huk i poczułam, jak jakaś siła wyrzuca mnie z tylnego siedzenia samochodu.

Tak, jechaliśmy samochodem. Siemen, Janne, Frederik i ja.

No i Katie. Ona prowadziła. Słuchaliśmy Boba Marleya i zrobiło się nam wesoło. Padało, Frederik siedział obok mnie.

Potem nagle wycieraczka przestała działać. To właśnie się stało! Katie krzyczała. Siemen też krzyczał na siedzeniu pasażera.

Mieliśmy wypadek. Nic, tylko to musiało się zdarzyć. Ostrożnie poruszyłam rękoma i nogami. Zdawały się w porządku. Dotknęłam brzucha i piersi. Wszystko było jak zawsze, nic mnie nie zabolalo. Co w takim razie mi się stało? Spróbowałam się podnieść, ale przeszkodził mi w tym okropny ból. To moja głowa. To ona, a szczególnie twarz, tak mnie bolała. Opadłam z powrotem na poduszkę i przez chwilę nie odważyłam się znów poruszyć. Jednak w końcu dotknęłam mojej obolałej twarzy. I znowu wymacałam, jak wcześniej, mocną, ciężką opaskę.

W tym momencie usłyszałam odgłos otwieranych drzwi. Jak oparzona opuściłam szybko rękę i schowałam ją pod kołdrę.

- Obudziłaś się nareszcie - powiedział obcy mi głos. Milczałam.

- Jestem siostra Deborah. Przyszłam zmierzyć ci temperaturę. Chcesz może coś do picia? Mogę przynieść ci herbatę albo sok.

- Co się ze mną stało? - zapytałam w odpowiedzi.

- Miałaś wypadek samochodowy - wyjaśniła, a ja poczułam, że odkrywa kołdrę i wsuwa mi pod ramię termometr.

- Ale co mi jest? Dlaczego tutaj leżę i gdzie są inni?

- Zraniłaś się w twarz - odparła siostra z lekkim wahaniem. - Miałaś silny wstrząs mózgu i oczywiście odniosłaś też inne obrażenia.

- Kiedy mnie nic nie boli, tylko głowa - pomyślałam zdezorientowana.

- Od wypadku minęły już trzy tygodnie - powiedziała pielęgniarka, wyjmując termometr. - Twój rodzice zaraz tu będą - mówiła dalej, podciągając kołdrę.

- Trzy tygodnie? - wyszeptałam, nie mogąc pojąć tego, co przed chwilą usłyszałam.

- Tak, trzy tygodnie - powtórzyła siostra. Jak to możliwe?

- Nic nie pamiętam - wyjąkałam wreszcie.

- Twoi rodzice wszystko ci wyjaśnią - powiedziała pielęgniarka. - Muszę teraz iść, ale jak już skończę swój obchód, zajrzę do ciebie, dobrze?

- Hm - mruknęłam cicho i po chwili doszedł mnie dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Potem zapadła cisza. Leżałam oszołomiona.

Co stało się z innymi? Czy doznali obrażeń? Leżeli w szpitalu tak jak ja? W ogóle jak długo jeszcze miałam tu leżeć? Kiedy wreszcie zdejmą mi tę straszną opaskę? Chcę znowu widzieć.

Siostra powiedziała, że moja twarz została skaleczona. Co właściwie miała na myśli? Czy zostałam oszpecona? Będę mieć straszliwe blizny?

W tej chwili usłyszałam ciche pukanie do drzwi.

- Tak? - zawołałam nerwowo.

- Leoni! - w odpowiedzi rozległ się głos mamy i drzwi otworzyły się na oścież. - Córeczko, obudziłaś się wreszcie.

Kiwnęłam głową, a rodzice już byli przy moim łóżku.

- Cześć, Myszko - powiedział tato dziwnie brzmiącym głosem. Poza tym „Myszką” nie nazywał mnie już od lat.

- Cześć, tato - odparłam drżącym głosem.

- Jak się czujesz? - zapytała mama, pocałowawszy mnie na powitanie. Usłyszałam, jak przysuwa krzesło i zaraz potem wzięła mnie za rękę. Tato, jak mi się wydawało, chodził wokół mego łóżka, a następnie usiadł na jego brzegu.

- Nie wiem - odparłam cichutko.

- W każdym razie wyglądasz już o wiele lepiej - powiedział tato.

- Czy to prawda, że leżę tutaj już od trzech tygodni? - zapytałam nagle.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza. Pierwsza przerwała ją mama. - Tak - szepnęła. - Ach, Leoni, moja dziewczynko. To były najstraszniejsze dni w moim życiu. Nie chciałaś się obudzić. Tato, Siemen i ja całymi dniami czuwaliśmy na zmianę przy twoim łóżku. Nawet dziadek przyjechał do Niemiec i czuwał przy tobie. Grischa też kilka razy cię odwiedził.

Kiwnęłam lekko głową. - Mamo, co się ze mną stało? - zapytałam wnikliwie.

- Miałaś ciężki wypadek. Wyrzuciło cię z siedzenia - odparła, a ja poczułam, że jej dłoń drży.

- Nie byłaś przypięta pasami - dodał ojciec łamiącym się głosem. - Na Boga, dlaczego nie zapięłaś tych pasów? - wyrzucił z siebie nagle ze wzburzeniem.

- Ben, proszę... - wyjąkała z przerażeniem mama. - Weź się w garść. Przecież rozmawialiśmy już tysiąc razy o tym, że teraz nie ma sensu robić dzieciom wymówek.

- Ale gdyby nie to... Może nic by się nie stało... Boże drogi, przecież tyle razy błagaliśmy was o zapinanie tych pasów.

- Co z innymi? - zapytałam szybko.

- Wszystko w porządku - odparła mama i pogłaskała mnie zimnymi palcami po policzku. - Tylko Katie spędziła kilka dni w szpitalu. Doznała urazów kręgu szyjnego i szczęki.

- A Siemen, Frederik i Janne?

- Nic im się nie stało. Odetchnęłam z ulgą.

- Czyli tylko ja ucierpiałam - powiedziałam.

- Tak, tylko ty zostałam ciężko ranna - odparła mama, a ja usłyszałam, że tłumi płacz.

- Co mi jest? - zapytałam ostrożnie.

- Przy zderzeniu rzuciło cię na przednią szybę. Doznałaś obrażeń głowy i oczu, Leoniu.

Zagryzłam usta i przypomniałam sobie straszny ból w głowie.

- Mogłam umrzeć? - zapytałam cicho, nie będąc pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

Nie wiedziałam też, czy rodzice powiedzą mi prawdę.

Jednak powiedzieli.

- Tak, mogłaś umrzeć - odparła mama. - Byłaś już prawie po tamtej stronie, Leoniu.

Potem opowiedziała mi o helikopterze, którym przewieziono mnie do szpitala, wielu operacjach, o tym, jak później zapadłam w śpiączkę i o napadach wysokiej gorączki, które utrzymywały się przez całe dni.

Przysłuchiwałam się jej bez słowa.

- Jednak przeżyłaś, Leoniu - powiedziała w pewnym momencie, wzdychając. - Dzień, w którym ordynator w końcu zapewnił mnie, że wróciłaś do nas, był najpiękniejszym dniem w moim życiu.

Uśmiechnęłam się, a mama ścisnęła moją rękę, która nie drżała już tak mocno jak przedtem.

- Kiedy zdejmą mi wreszcie tę opaskę? - spytałam. Znów na chwilę zapadła cisza. Tak głucha, że słyszałam oddech rodziców i parę ćwierkających ptaków, które przelatywały gdzieś za oknem.

- Wkrótce - powiedziała mama.

- Dzięki Bogu - westchnęłam z ulgą. - Do szalu mnie doprowadza, że nie widzę. Człowiek czuje się tak bezradny, gdy leży w łóżku i nie wie, co się wokół dzieje. Na przykład, która jest godzina? Jaka jest pogoda na dworze? I jak wygląda ten pokój?

Znów usłyszałam oddech rodziców.

- ok, jest tuż po trzeciej, za oknem świeci słońce, choć niebo jest trochę zachmurzone, a ten pokój ma jasnoniebieskie ściany. Poza twoim łóżkiem i zwykłą szpitalną szafką nocną na przeciwległej ścianie stoi jeszcze biała szafa. Nad tobą wisi reprodukcja „Słoneczników” van Gogha.

To powiedział tato.

- Mamo, co ci jest? - zapytałam z napięciem, bo czułam, że coś tu nie gra. Coś mi nie pasowało w tym przesadnie ożywionym głosie taty.

- Nic... - odparła, ale jej głos zdradzał, że nie mówiła prawdy i że resztką sił powstrzymywała się, by nie wybuchnąć płaczem.

Nagle zrozumiałam, co się stało.

Nagle coś mi się przypomniało. To nie cała twarz mnie bolała, a oczy. To one sprawiały mi tak okropny ból! I jeszcze coś sobie przypomniałam. Jaskrawe światło, które w pewnej chwili oślepiło mnie, a potem zapadła ciemność.

- Straciłam wzrok, tak? - wyszeptalam ze strachem. Te słowa zabrzmiały tak potwornie, że najchętniej zakryłabym uszy. I za nic na świecie nie chciałabym wymówić ich znowu. Jednak uczyniłam to.

- Mamo, mam rację, czy nie? Jestem niewidoma i nigdy nie odzyskam wzroku?

Usłyszałam, jak przetyka ślinę.

- Tak, Leoniu - odparła po chwili. - Jesteś niewidoma i nigdy nie odzyskasz wzroku.

Milczałam.

- Mimo to życie toczy się dalej - powiedział tato, tym razem ściskając mnie za rękę.

Milczałam.

- Najważniejsze, że żyjesz - rzekła mama. Milczałam.

- Wszystko inne przezwyciężymy razem - dodał tato. Milczałam.

- Leoniu? - zapytała w końcu mama.

Jednak ja nadal milczałam. Milczałam i milczałam, w środku i wokół mnie była czerń, i nagle ogarnęła mnie pewność, że nie potrafię już więcej słuchać, odczuwać i myśleć.

Nic już nie potrafiłam.

Zapadłam w odrętwienie.

Skoro nie byłam w stanie nic więcej widzieć i słyszeć, to mnie też tu już nie było. Po prostu zniknęłam, stałam się niewidzialna, nie do odnalezienia. Nie odnalazłam przecież nie tylko moich ramion, ale też rąk i reszty ciała. Nie znalazłam również sali, w której leżałam. Nie odnalazłam ani dnia, ani nocy. Jedyne, co mnie otaczało, to ciemność. Zawsze i wszędzie - ciemność.

Nie dochodziło do mnie, co robili moi rodzice, czy byli przy mnie, czy nie. Od czasu do czasu ktoś przytykał mi do ust dziwnie uformowaną rzecz, która sprawiała wrażenie grubego smoczka i która chyba należała do filizanki. Przez ten dziubek musiałam pić.

Jedyne, co oprócz tego robiłam, to spanie. Spałam i byłam pogrążona w półśnie, nawet kiedy mnie myto, smarowano kremem, badano... Kiedy przesuwano moje łóżko na kółkach i wieziono mnie na trwające w nieskończoność, niewidzialne badania, które gdzieś tam przeprowadzano, zawsze w tej samej, niezmiennej ciemności. Spałam i spałam, i spałam. Nie można było mnie zagadnąć, ponieważ nie istniałam. Nie widziałam, nie słyszałam, nie czułam, nie smakowałam, nie myślałam.

- Nie miałam pojęcia, ile minęło czasu, kiedy któregoś dnia jakiś szelest zmusił mnie, bym obudziła się na moment. Słyszałam czyjś płacz. Wydawało mi się, że ktoś płacze już dobrą chwilę. To był płacz dziecka i w sekundę wiedziałam już, kto płacze. To był Grischa.

- Grischa - wyszeptalam, a mój głos zabrzmiał przerażająco. Suchy i ochryply.

- Leoniu - załkał braciszek.

- Dlaczego płaczesz? - zaskrzeczałam.

- Bo powinnaś już się obudzić - odparł braciszek, pociągając nosem. - I wrócić wreszcie do domu.

Do domu.

Milczałam, gdyż nagle przyszedł mi na myśl nasz mały, przytulny biały domek, czerwona pnąca róża, którą przed laty posadziłam z Janne, a która od tamtej pory wyrosła jak topola. Tak bardzo, że sąsiedzi z naszej ulicy już kilka razy zagadywali nas o nią. Widać było to rzadkością, by róża w takim tempie rosła, a przy tym tak wspaniale kwitła.

Nasz dom.

A za nim zdziczały ogródek z lekko pagórkowatą łączką, na której ja, Siemen, Katie, Frederik i Janne spędziliśmy tamtą pamiętną noc.

Wydawało mi się, że od tamtej chwili minęła cała wieczność.

Frederik.

Frederik, który mnie pocałował, głaskał po plecach tego dnia w lesie. To było jeszcze zanim spadł deszcz, który zaskoczył nas w drodze powrotnej i który uczynił mnie niewidomą.

- Leoniu, płaczesz? - zapytał Grischa.

Dotknął mojej ręki i ścisnął ją swoimi drobnymi paluszkami. Zaczęłam płakać. Tak mocno, jak nigdy przedtem.

W pewnej chwili poczułam, jak Grischa ostrożnie wdrapuje się na moje łóżko i wsuwa się obok mnie pod koc. Objął mnie za szyję i przytulił się do mnie mocno. Jego delikatne włosy łaskotały mnie przyjemnie po twarzy. Nagle znów czułam zapachy. Czułam zapach drobnego ciała Grischy, który tak dobrze znałam, i woń jego miękkich, świeżo umytych włosów. Braciszek leżał bez słowa w moich ramionach, a ja cicho oddychałam.

Słyszałam, jak oddycha.

Czułam, jak pachnie.

I czułam jego kędziorki na mojej twarzy.

- Leoniu, wyobraź sobie, że będę teraz w drużynie piłkarskiej - odezwał się w którymś momencie. - Najpierw nie chciałem, bo bałem się, że zabraknie mi czasu na skrzypce, ale mama powiedziała, że dobrze mi zrobi, jak będę bawić się z innymi dziećmi na świeżym powietrzu, bo to niezdrowo siedzieć ciągle w domu.

Nagle oczyma wyobraźni zobaczyłam małego, rudawego i kędzierzawego Grischę, jak biega po wielkim boisku na swoich cieniutkich jak zapałki nóżkach.

- Lubisz kopać piłkę? - zapytałam cicho. Mój głos nadal brzmiał nienaturalnie chropowato, ale już troszkę mniej.

- Tak, to naprawdę frajda - odparł po chwili zastanowienia. - A jak się dobrze gra, to później można zostać reprezentantem kraju i pojechać na mistrzostwa świata! Fajnie by było. Ale pan Belyi jest trochę zły z tego powodu. Mówi, że powinienem grać na skrzypcach i dać sobie spokój z piłką. Tylko dla mnie jeszcze żyje. Od kiedy skończył dziewięćdziesiątkę życie mu zbrzydło, ale nie umiera, bo musi mnie jeszcze wiele nauczyć. A teraz boi się, że skaleczę się podczas meczu i nie będę mógł więcej grać na skrzypcach...

Cudownie było znów słuchać opowieści Grischy.

- Kiedy wyzdrowiejesz, będziesz musiała koniecznie pójść ze mną na trening i popatrzeć... - kontynuował. - Ojej... - przerwał sam sobie. - Chciałem powiedzieć, żebyś poszła tam razem ze mną i po prostu była podczas treningu. O tym myślałem, Leoniu...

- Tak - wyszeptałam, czując mocne bicie serca. - Na pewno pójdę z tobą na mecz.

Potem znów zapadła cisza.

- Jesteś na mnie zła? - zapytał wreszcie brat. - Ze powiedziałem, żebyś popatrzyła?

Pokręciłam przecząco głową.

- To dobrze - odetchnął. Poglaskał mnie po policzku. - Fajnie, że masz na twarzy już tylko te dwa plastry. Z opaską wyglądałaś o wiele gorzej.

- Plastry? - zapytałam zmieszana.

- No, tak - usłyszałam w odpowiedzi. - Zdjęli ci wczoraj opaskę. Nie pamiętasz?

Zaprzeczyłam. Grischa nie mógł przecież wiedzieć, że dopiero on sprawił, że odzyskałam świadomość. Choć troszeczkę.

- Dotknij sama - zaproponował braciszek, ujmując moją dłoń. Jednak ja odmówiłam. - Wolę nie - powiedziałam i uczepliłam się rękoma brzegu koca.

Zaraz potem rozległo się stukanie do drzwi.

- Proszę! - wyręczył mnie Grischa. Do pokoju weszła mama.

- No, jak tam? - słyszałam coraz bliżej jej kroki. - Jak leci?

- W porządku - odparł brat. - Leonia obiecała mi, że pójdzie ze mną na trening.

- Wspaniale - powiedziała mama, a ja zauważyłam, jak usilnie stara się, by brzmiało to wesoło. Jednak jej głos był śmiertelnie smutny.

Skuliłam się jak tylko mogłam i obróciłam na drugą stronę, tak by plecami leżeć do Grischy i mamy. Znów zasnęłam.

Z całego serca nienawidziłam tego ciemnego świata, który mnie otaczał. Wolałabym już nie żyć. Nie ma mowy, żebym kiedyś poszła z Grischa na trening. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym niewidzialnym światem.

Mijały dni, a ja spałam albo leżałam otępiała. Nie mogłam jednak całkowicie odgrodzić się od otaczającego mnie świata, życia... Od czasu tamtej rozmowy z Grischa znów zaczęłam słyszeć, odczuwać. Docierały do mnie odgłosy szpitalnej krzątaniny, zapach środka dezynfekującego. Czułam, jak badają mnie lekarze.

Po odgłosach kroków pielęgniarek roznoszących rano lekarstwa i mierzących temperaturę, wiedziałam, kiedy zaczynał się dzień. Potem sprzątano sale i lekarze mieli swój obchód. W południe był obiad, a po południu robiło się głośno, bo zaczynała się pora wizyt. A po kolacji pielęgniarki z nocnej zmiany szły na obchód sal.

Bóle były teraz bardziej znośne niż kilka dni temu.

- Leoniu, przyniosłam ci telefon - powiedziała któregoś dnia siostra Anja. - Stawiam go na szafce nocnej. O, tutaj z przodu, dotknij, jest mała podstawka. Tutaj będzie się trzymać porządnie. Możesz spokojnie sięgnąć po niego z łóżka. Jeśli chcesz, możesz dzwonić nawet na leżąco.

Poczułam, że chwyta moją rękę, ale szybko ją cofnęłam. Leżałam, milcząc, bez ruchu

na boku.

- Leoniu, przecież wiem, że nie śpisz - westchnęła. Nie poruszyłam się.

- Cóż, jak zadzwoni, dasz sobie radę. Jestem pewna - powiedziała na odchodnym.

Nie minęło nawet pół godziny, kiedy telefon się rozdzwonił. Na ten dziwny dźwięk wzdrygnęłam się ze strachu, ale dalej leżałam bez ruchu. Kto to mógł być? Pewnie rodzice. Przecież nikt inny tylko oni musieli wpaść na pomysł z telefonem.

Oczywiście, mógł to być jeszcze Siemen. Albo Grischa czy Janne. Może nawet Frederik dzwonił z Berlina.

Za każdym razem, kiedy rodzice przychodzili do szpitala, wspominali go.

- Tak chciałby cię odwiedzić - mówili. - Cały czas do nas dzwoni.

Jednak ja nie życzyłam sobie, by teraz był przy mnie. Tak więc za każdym razem, gdy zaczynali swoje, kręciłam przecząco głową.

- Przestań wreszcie na wszystko kręcić głową - prosiła wtedy zawsze mama. - I odezwij się wreszcie do nas. Przecież z Grischą już rozmawiałaś...

Nie odebrałam telefonu. Próbowałam zasnąć.

Kilka razy odwiedził mnie w szpitalu mój angielski dziadek. Jego też nie chciałam mieć przy sobie.

Ja zwyczajnie niczego i nikogo już nie chciałam. Pragnęłam tylko umrzeć. To było moje jedyne życzenie. O niczym innym nie byłam w stanie myśleć.

Ciemność wokół mnie każdego następnego dnia robiła się coraz ciemniejsza, zimniejsza, coraz bardziej groźna i ponura.

Znów mnie badano. Milcząco poddawałam się temu.

- Zobaczymy jeszcze raz, jak się goi twoja głowa - powiedział lekarz, którego głos już znałam. - Jeśli jest tak, jak przypuszczam, to nie widzę przeszkód, żebyś znowu wstała i wróciła do normalnego życia.

Zacisnęłam zęby. Dlaczego musiał wygadywać takie bzdury? Moje życie legło w gruzach, a ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było wstanie i „powrót do normalnego życia”. Zresztą, co to byłoby za życie? Wolałam o tym nie myśleć. Potykając się, błędziłabym po okolicy, zawsze zdana na pomoc innych. Wzbudzałabym tylko śmiech ze swoimi zamkniętymi, pustymi oczyma - jak lunatyk, który pomylił dzień z nocą. Żaden chłopak by się mną już nie zainteresował. No, chyba że Sebastian, o którym ostatnio mama dziwnie dużo opowiadała. Sebastian mimo kolejnej operacji widział coraz mniej. Wkrótce pewnie zupełnie straci wzrok, tak jak ja. Dwoje ślepców, kaleki - o, tak, zgrana byłaby z nas para!

Leżałam tak, blada i sztywna ze wściekłości, kiedy dwójka sanitariuszy przenosiła mnie na twardą leżankę z łóżka, na którym powieźli mnie na badania.

- Gotowe - powiedział jeden z nich, a jego głos brzmiał młodo i wesoło. Chłopak na pewno był przystojny. Ładnie też pachniał. Kiedy się nade mną pochylił, jego zapach zwrócił moją uwagę, choć broniłam się przed tym.

Włożyli mnie do jakiejś rury, żeby prześwietlić mi rentgenem głowę. Tak mi powiedzieli. Po raz pierwszy nie spałam w czasie tego badania. Leżałam cicho i nasłuchiwałam szumu maszyny rentgenowskiej.

Potem zabrali mnie do mojego pokoju.

- Na razie, Leoniu - powiedział pielęgniarz swoim przyjemnym głosem i lekko ścisnął mnie za ramię.

Nic nie odpowiedziałam, ale długo czułam miejsce, które dotknęła jego ciepła, mocna dłoń. Pomyślałam o Frederiku - Frederiku, którego nigdy już nie zobaczę i który przestanie o mnie myśleć. A wkrótce pewnie zakocha się w innej dziewczynie. Dziewczynie, która nie będzie jakąś ślepą kaleką, i którą będzie całował i głaskał po plecach, tak jak niegdyś mnie.

„Leonia o oczach zielonych jak szmaragdy.

Ta Leonia umarła”.

Ostrożnie podniosłam rękę i po raz pierwszy dotknęłam opatrunku na oczach. Nie bolało mnie, właściwie wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Serce zabiło mi mocniej. Może lekarze mylili się i któregoś dnia znowu będę widzieć?

Przecież teraz jest tyle możliwości! Przeszczepia się serce i nerki, dzieci wkłada do inkubatorów, to pewnie znajdzie się też i jakiś sposób na moje oczy. Może uszkodzoną rogówkę dałoby się zespoić laserem albo w ogóle wymienić na nową? Może lekarze w tym szpitalu po prostu nie znają jeszcze takich technik? Może w Ameryce by mi pomogli?

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Tak...? - szepnęłam zdumiona. To byli rodzice.

- Jesteśmy, Leoniu - powiedział tato. Usłyszałam, jak razem z mamą pospiesznie podchodzą bliżej do mojego łóżka. Dziwne, ich chód różnił się od siebie. Ojciec stawiał ciężkie, nierównomierne kroki, podczas gdy chód mamy był lekki i bardziej harmonijny.

- Wyobraź sobie, Leoniu, że już możesz wstać - oznajmiła mama, całując mnie w czoło, zanim zdążyłam się uchylić.

- Prześwietlenie wypadło doskonale - dodał tato, ściskając znacząco moją dłoń.

- Czy jest choć cień nadziei, że kiedyś, mimo wszystko, będę jeszcze widzieć? - zapytałam szybko. Był to pierwszy raz od wielu dni, kiedy się odezwałam. Mój głos brzmiał nienaturalnie i chropowato, tak jak podczas rozmowy z młodszym bratem.

Zapadła głucha cisza. Wstrzymałam oddech i ze wszystkich sił pozostałymi zmysłami próbowałam odgadnąć, co się dzieje. Niemal namacalnie czułam, że rodzice spojrzeli po sobie. Ich zdenerwowanie, zmartwienie...

- Powiedzcie coś, proszę - szepnęłam w końcu.

- Nie, Leoniu, doznałaś zbyt mocnych obrażeń, by dało się coś zrobić - mama wypowiedziała te słowa tak cicho, że był to prawie szept.

- Ale może w innym szpitalu? - pytałam dalej drżącym głosem.

- Nie, nawet w innym szpitalu - odparł tato. Zakrztusiłam się, bo nagle zupełnie zaschło mi w gardle.

Krztusiłam się i krztusiłam, wokół mnie wszystko zaczęło wirować. Znow wpadłam w czarną otchłań. Dostałam konwulsji.

- Mamo! - krzyczałam załamującym się głosem.

- Boże drogi, Leoniu, co się dzieje? - zawołała z przerażeniem mama.

- Mamo, umieram...!

Chyba się poddałam, bo straciłam orientację, gdzie jestem i co się ze mną dzieje.

Później znow wokół mnie zapadła cisza, a ja uniosłam się w przyjemną pustkę - jasną i przyjazną.

Czy tak wygląda śmierć?

Czy też znow wyzdrowiałam?

Czy to było światło, które jednak uzdrowiło moje oczy?

- Cześć, Leoniu - powiedział Frederik, wchodząc do mojego pokoju. Uśmiechnął się do mnie, a ja odwzajemniłam uśmiech.

- Fajnie, że znowu jesteś w domu. Skinęłam głową i oparłam swoje czoło o jego.

- Jesteś... Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znam - wyszeptał, wodząc delikatnie palcem po moich brwiach. - I masz takie piękne oczy, zielone jak otchłań jeziora...

- Jak otchłań? - powtórzyłam ze śmiechem.

Frederik przytaknął. - Tak, jak zieleń jeziora. Najpiękniejszy odcień zieleni. Przejrzyście zielony. Jesteś malarką, to wiesz najlepiej... - Frederik przyglądał się przez chwilę moim sztalugom. Potem zaczęliśmy się całować. Miałam cały czas otwarte oczy, bo wspaniale było widzieć twarz Frederika z tak bliska. On sam miał oczy zamknięte i wyglądał przy pocałunku tak dziecinnie jak wtedy, gdy miał siedem lat i po raz pierwszy pokazał mi swój rower wyścigowy.

Westchnęłam i przytuliłam się do niego mocno.

- Może chodźmy do parku wytropić jakąś budkę z lodami. Co ty na to? - zaproponował Frederik. - Mam ochotę na lody malinowe z bitą śmietaną.

- ok!

Wyszliśmy z domu, trzymając się za ręce. Na murku w ogrodzie wygrzewał się na słońcu Hobbes. O drzwi od garażu oparty był niebieski rower górski Siemena. Na ławce na trawniku siedziała mama i czytała książkę.

- Idziemy na lody! - zawołałam do niej.

- Niech zgadnę - lody malinowe! - odkrzyknęła.

Roześmialiśmy się, bo, oczywiście, miała rację. Ja i Frederik zawsze wybieraliśmy malinowe. Właściwie nie wiem, dlaczego tak się działo. Gdy wychodziłam z kimś innym, kupowałam także lody o innych smakach - ale z Frederikiem zawsze malinowe. Mieliliśmy swój rytuał: trzy gałki z bitą śmietaną dla każdego z nas.

- Pobiegnijmy kawalek! - zawołał, podrywając się z miejsca. Pobiegłam za nim. Czulałam się wspaniale - chłonełam słoneczny, pełen kolorów dzień.

- Jaka jestem szczęśliwa... - przebiegło mi przez myśl, kiedy usiłowałam dogonić przyjaciela. Życie było takie piękne, a ja żyłam jego pełnią.

- Frederik, poczekaj!... - zawołałam, z trudem łapiąc oddech. Zatrzymał się, odwrócił i uśmiechnął do mnie. Widziałam jego ładne, szeroko otwarte brązowe oczy i jego usta rozciągnięte w uśmiechu... I włosy ze złotymi refleksami słońca, zawsze lekko skręcone za uszami.

- Mój ty mały ślimaczku - powiedział, chwytając mnie w pól.

Zaczęliśmy się śmiać, ale wtem coś mnie zaniepokoiło. Zaczęłam drżeć.

- Co się dzieje? - zdziwił się Frederik.

- Nie wiem - szepnęłam, czując, że ogarnia mnie panika. Patrzyłam na powiększające się koniuszki uszu Frederika i małe znamię w kształcie serca na lewym przedramieniu, i śmieszoną różową brodawkę na prawym kciuku.

- Leoniu, co się dzieje? - znów zapytał.

- Nie wiem... - wyjąkałam. Koniuszki uszu, małe znamię, jeszcze mniejsza brodawka - to wszystko było mi tak dobrze znane. Chciałam jednak jeszcze raz uważnie się przyjrzeć, tylko po to, by się upewnić, że wszystko jest w należyтым porządku, że niczego nie zapomniałam...

W tym momencie się obudziłam. Odwróciłam się, by nie stracić z oczu Frederika. Byliśmy przecież w parku, mieliśmy pójść na lody.

- Frederik... - wyszeptałam bezgłośnie w otaczającą mnie ciemność.

Jakie to było bolesne! Jeszcze przed chwilą wszystko wyraźnie widziałam: światło, słońce, nasze utarte ścieżki w parku... I Frederika, tak jakby stał tuż obok mnie, dosłownie czułam jego zapach.

Jednak nie było go tutaj. Nikogo nie było. Nikogo, oprócz mnie... Nawet siebie nie mogłam zobaczyć. Nic nie widziałam, po prostu nic. Tylko czarną, pustą, przejmującą ciemność.

Zrozpaczona wyciągnęłam nagle ręce w tę ciemność, chcąc coś uchwycić. Bezskutecznie, natrafiłam jedynie na pustkę. Zaczęłam jeszcze bardziej, gwałtowniej wymachiwać rękoma i nagle... lewą dłonią napotkałam jakiś przedmiot. Co to było? Ostrożnie wyprostowałam zaciśnięte palce. Telefon! Wyraźnie poczułam pod palcami kwadratowy aparat ze słuchawką.

Ale dlaczego stał on po mojej lewej stronie? Czy do tej pory nie stał po prawej? Gdzie zatem znajdowały się drzwi, a gdzie okno? Opadłam bezsilnie na łóżko i już nie odważyłam się poruszyć. Czy wciąż był dzień, czy może już noc? Wokół panowała absolutna cisza, jak w nocy, ale gdzieś tam w środku czułam, że jest jeszcze dzień.

- Mamo - wyszeptałam z rozpaczą, zauważywszy, że wszystko wokół mnie zaczyna krążyć. Moje łóżko zdawało się unosić, by po chwili znów opaść. Miałam uczucie, że za chwilę spadnę w przepaść.

Nagle usłyszałam czyjś krzyk.

Trwało chwilę, zanim zorientowałam się, że to ja krzyczę. Był to krzyk rozpacz,

strachu, wściekłości i nienawiści. Niech wszyscy zobaczą, jaka jestem szalona. Zresztą, pewnie rzeczywiście byłam. Szalona, ślepa, wyczerpana i... całkowicie samotna w czarnej otchłani.

Powinnam wstać, ale nie byłam w stanie. Po prostu leżałam i niewidzącymi oczyma wpatrywałam się w otaczającą mnie ciemność. Słyszałam mamę, która coś do mnie mówiła, i ojca... Z oddali docierały do mnie też głosy Siemena i Grischy, Janne i Katie.

- Jest mi tak strasznie przykro - powiedziała Katie, a ja poczułam, że sięga po moją rękę. W porę ją cofnęłam.

- Co noc śni mi się ten wypadek - kontynuowała. - Gdybym wtedy nie zgodziła się jechać. I jeszcze ten deszcz! Nigdy już nie będę prowadzić w deszczu! Leoniu, nienawidzę każdej kropli...

Leżałam cicho, nie ruszając się.

- Czy ona śpi? - wyszeptła w drugą stronę.

- Nie, nie śpi - odpowiedział jej mój ojciec. Zmarszczyłam brwi. Skąd wiedział, czy śpię, czy nie? Skąd ta pewność?

- Jest pan pewny? - spytała powątpiewająco Katie. - Wygląda tak, jakby spała...

Nagle naszła mnie myśl, że wszyscy mnie teraz obserwują. Powoli wyciągnęłam spod kołdry ręce i zasłoniłam nimi twarz.

- Leoniu! - krzyknęła zaraz Katie. - Jednak nie śpisz! Leoniu, tak mi przykro... Zaczęła płakać. - ... że to ci się stało, Leoniu...

Miałam wrażenie, że - jak zwykle - trzyma w buzi swoją amerykańską gumę do żucia, ale nie słyszałam, żeby ją żuła. Przypuszczałam też, że znów ukryła swoje piegi pod grubą warstwą pudru.

Wydawało mi się, że gdybym tylko otworzyła oczy, zobaczyłabym ją bardzo wyraźnie, jak na dłoni. Jednak nie zrobiłam tego. Pozostawiłam moje oczy zamknięte pod plastrami, nadal zakrywając twarz rękoma. Tak lepiej było mi znieść ciemność. Nie widziałam nikogo i nikt nie mógł zobaczyć mnie.

W którymś momencie zasnęłam.

Następne dni przyniosły parę wydarzeń. Zaczęło się od tego, że dwie pielęgniarki, których głosów wcześniej nie słyszałam i które mi się nie przedstawiły, podniosły mnie z łóżka. Głos jednej brzmiał wiekowo, drugiej zaś bardzo młodo i niepewnie.

- Wstaniemy dzisiaj na chwilkę z łóżka, co? - usłyszałam starszą.

- Nie - przerażona zaprotestowałam słabym głosem. Poczułam, że robi mi się niedobrze.

- Tylko malutką chwilkę - powiedziała i złapała mnie za ramię. Druga siostra

przytrzymała mnie od tyłu. Zachwiałam się, bo nogi miałam dziwnym trafem słabe, jak z waty.

- No, całkiem nieźle sobie radzisz! - usłyszałam starszą pielęgniarkę. Przytrzymała mnie za ramiona, bo o mały włos się nie przewróciłam. Potem wcisnęła mnie w dziwne siedzisko. Usiadłam, szcękając zębami ze strachu, i poczułam, jak bardzo jestem zmęczona, bo właściwie dopiero teraz obudziłam się na dobre. Musiało być wcześniej rano. A może się myliłam? Nie byłam pewna.

- Która godzina? - wyszeptałam, kładąc drżące ręce na oparciu krzesła, na którym siedziałam. Przy tym natrafiłam na dwa wzniesienia znajdujące się pod oparciem. Przerazona pomacałam je. Tym razem dotarło do mnie lotem błyskawicy: siedziałam na wózku inwalidzkim! Zrozpaczona cofnęłam ręce i skuliłam się, ile tylko mogłam.

- Kochanie, jest wpół do ósmej - usłyszałam przyjazny głos starszej pielęgniarki. - Zaraz będzie śniadanie. Ale najpierw się umyjemy, prawda?

Mówiąc to, zaczęła pchać wózek w nieznanym mi kierunku.

- Jesteśmy na miejscu.

Usłyszałam plusk wody i zaraz ktoś wepchnął mi do ręki mokrą gąbkę.

- Nie chcę. - wycedziłam. Myśl o myciu mojej niewidzialnej twarzy była nie do zniesienia.

- Ale, ale - usłyszałam głos starszej pielęgniarki i poczułam, jak chwyta mnie za ręce i przyciąga je na siłę do mojej twarzy.

- Od troszkę zimniejszej wody jeszcze nikt nie umarł - powiedziała z mocą. Pachniała delikatnie lawendą jak mama.

- No dobrze, tutaj jest twoja szczoteczka do zębów - oznajmiła, wciskając mi ją do ręki. Do tej pory pielęgniarki myły mi zęby w łóżku. Sama już dawno tego nie robiłam. Ostatni raz sama je umyłam tego ranka po zimnej nocy spędzonej w ogrodzie, kiedy to ręką w rękę spałam z Frederikiem pod gruszą. Dziwne, że pamiętałam to ze szczegółami: pobiegłam na górę, do mojej własnej niedużej łazienki obok mojego pokoju. Jest tak malutka, że w środku stoi się tuż przy małej lilaróż umywalce. Umyłam twarz i zęby, uczesałam potargane po nocy włosy. Potem spojrzałam w lustro i pomyślałam o moim pierwszym pocałunku z Frederikiem.

Od tamtej chwili minęła cała wieczność. I nic nie było takie, jakie być powinno. Tamta Leonia już nie istniała...

Czy tutaj nad umywalką też wisiało lustro, w którym mogli się przejrzeć normalni ludzie?

Na pewno. Oszołomiona i zrozpaczona siedziałam bez ruchu.

- Nałożyłam ci już pastę do zębów, możesz zaczynać - powiedziała druga siostra. Jej głos brzmiał niewiele doroślej niż głos Janne.

- Jestem Mette, uczę się w szkole pielęgniarstwa - przedstawiła się. - Będę tutaj na praktyce przez trzy tygodnie.

Siedziałam milcząca ze szczoteczką w ręku i nie mogłam wykonać żadnego ruchu. Zbyt wyraźnie widziałam siebie stojącą przy małej lilaróż umywalce i patrzącą w swoje odbicie w lustrze. Obraz ten był tak wyrazisty, że miałam uczucie, iż teraz to tylko dziwny, groteskowy sen.

- Moja mama też jest niewidoma - powiedziała nagle Mette. Zadrżałam na dźwięk tego strasznego słowa. „Niewidoma.

Niewidoma. Niewidoma?”.

- Urodziła się już niewidoma i nie zna nic innego - wyjaśniła dziewczyna, obejmując delikatnie moją prawą dłoń i unosząc ją ze szczoteczką do buzi.

- Może tak być? - spytała. Przytaknęłam słabo.

- Moja mama ma na imię Paula i jest urodzoną optymistką. Milczałam, spluwając niewidzialną pianę z pasty do zębów do niewidzialnej umywalki. Na chwilę wstrzymałam się. Pastę wyplułam tak automatycznie i spontanicznie, jak wcześniej do mojej lilaróż umywalki. Czy dobrze trafiłam, czy też trafiłam na krawędź?

- Doskonale - powiedziała radośnie Mette, a ja znów usłyszałam strumień wody. Ze strachem przysunęłam się bliżej umywalki, a dziewczyna podała mi kubek wody do płukania. Po chwili dodała:

- Możesz sama korzystać także z ubikacji. Chcesz teraz pójść?

Pomyślałam o tych niezliczonych razach, kiedy przynoszono mi do łóżka basen. Teraz, kiedy już się obudziłam i byłam przytomna, zrobiło mi się nieprzyjemnie z tego powodu.

Drżąc, przytaknęłam głową i poczułam, że pielęgniarka unosi wózek, na którym wciąż siedziałam i lekko go popycha.

- Możesz już wstać. Poczekaj, pomogę ci...

Milimetr za milimetrem podnosiłam się. Wstawałam w ciemność i znów miałam wrażenie, że wszystko zaczyna wokół mnie wirować.

- Pomocy, nie dam rady sama... - usłyszałam własny szept.

- Co ty mówisz, świetnie ci idzie - uspokoiła mnie Mette, a ja nagle usiadłam na muszli.

Potem dziewczyna zawiozła mnie z powrotem do łóżka. Byłam tak wyczerpana, że od razu zasnęłam.

Od tamtej chwili nie dawano mi spokoju. Ciągłe musiały wstawać, byłam jednak tak osłabiona, że przynajmniej pozwalali mi siedzieć na wózku. Przestali mnie karmić, musiałam sama jeść, a kiedy kilka dni później po raz pierwszy od wypadku dostałam okres, siostra Anja po prostu wcisnęła mi do ręki podpaskę.

- Przebierz się. W łazience leży świeża koszula nocna i bielizna - powiedziała. - A ja zmienię pościel.

Zrozpaczona siedziałam w łóżku, nie wiedząc, co powinnam zrobić.

- Nie dam rady - wyszeptałam w końcu.

- Oczywiście, że sobie poradzisz - odparła na to. - Chodź, pomogę ci wstać z łóżka.

Wprawnym ruchem podniosła mnie.

- Nie, proszę... - zaprotestowałam.

- Tędy idzie się do łazienki - przerwała mi. - To tylko trzy kroki. O, tutaj leżą twoje rzeczy.

Skierowała moją dłoń na rzeczy do przebrania.

- Ale nie wiem, co jest co? - wyszeptałam żałośnie.

- Wystarczy pomacać - odparła.

Niechętnie spełniłam jej polecenie. Nie trwało długo, nim zdjęłam stare ubranie i przebrałam się w nowe. Delikatnie pomacałam podpaskę i oderwałam z niej pasek. Przykleiłam ją do majtek i - ponieważ siostry Anji nie było już w łazience - po omacku ruszyłam do łóżka. Serce biło mi jak młotem, zbierało mi się na wymioty, ale starałam się to jakoś przetrzymać. Wyciągnęłam naprzód ręce i niezgrabnymi kroczkami szłam do pokoju. Po kilku krokach przystanąłam przerażona.

- Co się stało, Leoniu? Dlaczego nie idziesz dalej? - zapytała siostra Anja, która niespodziewanie wyrosła przy mnie.

- Nie wiem - szepnęłam. - Mam wrażenie, że tam coś stoi... Wyciągnęłam ręce przed siebie i natknęłam się na jakiś metalowy mebel.

- To wózek z lekarstwami - podpowiedziała pielęgniarka. - Brawo, Leoniu! Udało ci się coś bardzo ważnego! Poczulaś, że coś stoi ci na drodze! To znaczy, że inne zmysły przejęły kontrolę nad tym, co wcześniej kontrolował tylko twój wzrok.

Milczałam, a siostra Anja zaprowadziła mnie do łóżka. Usłyszałam, że wcześniej usunęła z drogi brzęczący wózek z lekarstwami.

- To jak z nietoperzami - kontynuowała pielęgniarka. - Wychowałam się w małej

wiosce w Szwarwaldzie. Było tam sporo nietoperzy. Wszystkie są ślepe. Mają orientację dzięki falom dźwiękowym. Wiedzą, gdzie wokół nich znajdują się jakieś rzeczy i mimo to, że nic nie widzą, latają z zawrotną szybkością i nigdy na nic nie wpadają.

Dalej milczałam, ale miło mi było, że siostra Anja jest przy mnie i tyle mi opowiada. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że o wiele łatwiej było mi znieść obecność ludzi, których poznałam po wypadku niż znanych mi wcześniej.

Może dlatego, że przy nich nie odczuwałam takiego braku, jak przy dobrych znajomych, których twarze wyraźnie miałam w pamięci.

Kiedy godzinę później przyszli moi rodzice, leżałam już w łóżku. Milcząc, ukryłam twarz w dłoniach. Nie powinni jej widzieć.

Musiałam jeść. Wcześniej, kiedy odłączyli mnie od kroplówki, karmiły mnie siostry. Zdarzało się, że wkładały mi do ręki kubek z jogurtem, czasami jabłko lub kanapkę. Tym razem było inaczej.

- Usiądź, Leoniu. Przyniosłam ci obiad - powiedziała siostra Conny, która od kilku dni pracowała na oddziale. Drżąc, podniosłam się na łóżku.

- Wstawaj, przyniosłam ci obiad - wyjaśniła, a ja usłyszałam, jak kładzie tacę na małym stoliku przy oknie.

- Wolę zjeść w łóżku - zaprotestowałam.

- Wystarczy już tego łóżka. Spędziłaś w nim mnóstwo czasu - odparła, kładąc sztućce.

- No, ruszaj się, Leoniu.

Niechętnie podniosłam się i wstałam ostrożnie. Po omacku doszłam do stolika i milcząco zaczęłam szukać krzesła. Na szczęście, szybko je odnalazłam, bo już drżały mi nogi i zaczynało mi się kręcić w głowie. Pośpiesznie usiadłam.

- Całkiem nieźle ci to poszło! - pochwaliła mnie pielęgniarka, gładząc mnie po ramieniu. Było to miłe uczucie. Mimo to, cofnęłam ramię. Straszne, że ktoś mnie dotykał, a ja nic nie mogłam zobaczyć.

- Przed tobą stoi talerz, a za nim szklanka z sokiem pomarańczowym.

Siedziałam nieruchomo bez słowa.

- Tutaj jest widelec - wcisnęła mi go w bezwładną dłoń. - Nie potrzebujesz noża. Pokroiłam mięso na małe kawałki. To sznycel po wiedeńsku. Obok są ziemniaki i duszona marchewka.

Przysunęła moją dłoń do talerza. - Smacznego.

Opuściłam głowę. Wiedziałam, że moje oczy skierowane były teraz na rękę trzymającą widelec. Miliony razy to widziałam: moja prawa ręka z małym, srebrnym pierścieniem, który dostałam w ubiegłym roku z okazji bierzmowania, i z krótkimi paznokciami pomalowanymi jasnym lakierem. Oczami wyobraźni widziałam każdy szczegół mojej ręki, że aż wydało mi się nieprawdopodobne to, że jestem niewidoma.

Zrozpaczona opuściłam widelec, który upadł z brzękiem na podłogę. Wyciągnęłam wysoko ręce przed oczy i zaczęłam mocno wpatrywać się w czelusć przede mną.

- Leoniu, masz tutaj widelec - usłyszałam w tym momencie siostrę Conny. Znowu trzymałam w niewidzialnej dłoni niewidzialny widelec.

- Nie chcę..., Nie mogę... Nie jestem głodna - mój szept przerodził się w szloch.

W pierwszej chwili chciałam schować się do łóżka, nakryć się całą kołdrą, ale nawet tego nie byłam w stanie zrobić. W tych nerwach straciłam orientację. Gdzie stało łóżko? Za mną? A może obok mnie? Jeśli tak, to z której strony?

Zerwałam się i uderzyłam rękoma w moją bezużyteczną teraz głowę.

- Leoniu! - usłyszałam przerażony krzyk siostry. Poczułam, że obejmuje mnie i, przytrzymując za ręce, prowadzi do łóżka.

- Wiem, że ci ciężko - powiedziała cicho.

Kompletna bzdura! Nic nie wiedziała. Nikt nie wiedział, co czuję. Byłam zupełnie sama w tej przerażającej ciemności.

Po południu przyszli rodzice. Leżałam w łóżku i rękoma zakrywałam twarz.

- Przynieśliśmy ci kilka twoich ulubionych płyt - powiedziała mama. Usłyszałam znajomy odgłos plastikowych pudełek, kiedy kładła je na stoliku. - A tato kupił ci przenośny odtwarzacz CD.

Tato przysunął krzesło do mojego łóżka, stawiając coś na nim. Zapachniało nowym fabrycznym sprzętem. Nie poruszyłam się. Potem wyjaśnili mi, jak obsługiwać odtwarzacz.

- To całkiem proste - powiedziała ostrożnie mama, chwytając mnie za rękę.

- Zapamiętaj, aby otworzyć, musisz tylko...

- Nie potrzebuję żadnej muzyki - przerwałam jej, a mój głos zabrzmiał wrogo. Cofnęłam zimną rękę i z powrotem zakryłam nią twarz.

- Ależ Leoniu...

- Chcę tylko umrzeć - powiedziałam. - Proszę, idźcie już. Oczywiście, nie posłuchali mnie. Zamiast pójść do domu, zostali, włączyli jedną z płyt i opowiadali mi o sukcesach Grischy w drużynie piłkarskiej, o tym, jak Siemen pogodził się z Tamarą, o Katie, Hobbesie i o Frederiku, który ciągle jeszcze dzwonił codziennie, i o Sebastianie, który przechodził terapię i było mu już troszkę lepiej. Nie słuchałam tego. Po prostu leżałam bezwolnie i próbowałam o niczym nie myśleć.

Zwróciłam tylko uwagę, kiedy mama opowiadała o Sebastianie. Przypomniałam sobie o jego próbie samobójczej i o tym, jak nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego to zrobił i co go tak unieszczęśliwiło. Jacy byliśmy głupi i bezgranicznie naiwni! Przecież wszyscy wiedzieliśmy, w jakim stanie był jego wzrok. Jednak żadne z nas nie brało tej sprawy aż tak poważnie, by upatrywać w niej przyczyny próby samobójczej.

Teraz rozumiałam rozpacz Sebastiana. On pewnie też wkrótce zupełnie straci wzrok. Jego oczy były tak samo słabe jak moje. Z tym, że ja przestałam widzieć za jednym zamachem, a on tracił wzrok dzień za dniem.

W którymś momencie rodzice pożegnali się.

- Siemen przyjdzie później - oznajmiła jeszcze mama, zanim wyszła. Nic na to nie powiedziałam.

Milczałam też, kiedy wpadł do mnie brat.

- Człowieku, przecież życie dalej się toczy. Leoniu, nie zapominaj o tym.

Milczałam.

- Wiem, że to wszystko straszne, ale mogło być jeszcze gorzej. Mogłaś zginąć w tym wypadku! Nie pomyślałaś o tym? - spytał Siemen.

Nic nie powiedziałam, ale w środku aż wylałam: „Tysiące razy o tym myślałam! I za każdym razem dochodziłam do wniosku, że to byłoby najlepsze wyjście!”

W końcu wyszedł, a ja zostałam sama, nadal zakrywając twarz dłońmi.

Następnego dnia przeniesiono mnie do drugiej sali.

- Nie chcę do innego pokoju, proszę - powiedziałam słabym głosem.

Na nic to się nie zdało. To był zły dzień. Pchali moje łóżko przez długi korytarz, a kiedy minęli drzwi, odniosłam wrażenie, że nowy pokój jest większy i że nie będę tu sama.

- Cześć, Estello! Koniec z samotnością - powiedziała siostra Anja. - Leoniu, oprócz twojego łóżka stoi tu jeszcze drugie, przy drzwiach. Ty będziesz leżeć przy oknie.

Poczułam, jak obraca moje łóżko i zatrzymuje przy ścianie.

- Będziesz dzielić pokój razem z Estellą. Wczoraj była operowana i dzisiaj czuje się trochę słaba, tak Estello?

- Nie jest tak źle - odparła dziewczyna, a jej głos zabrzmiał sympatycznie. - Cześć, Leoni.

- Cześć... - mruknęłam, szybko zasłaniając twarz rękoma. Po chwili obróciłam się w przeciwnym kierunku, tam, gdzie - jak sądziłam - znajdowało się okno.

- Obiad! - usłyszałam czyjś głos w porze obiadowej. To znów była siostra Conny.

- Estello, musisz, niestety, jeść w łóżku. Dzisiaj jeszcze dostaniesz papkę, ale od jutra możesz już jeść normalne posiłki.

- ok - odparła dziewczyna, a ja usłyszałam, że podnosi się na łóżku. - Au!... - bąknęła pod nosem.

- A ty, Leoni, możesz wstać. Chodź, zaprowadzę cię do stołu.

- Nie chcę - odparłam, nie odwracając się.

- Jest *lasagne* - kusila pielęgniarka. Ja jednak byłam nieugięta.

- Stawiam tacę na stole. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń. Tutaj jest guzik.

Wzięła moją rękę i dotknęła nią sznurka, który zdawał się wisieć nad łóżkiem.

Cofnęłam dłoń.

- Zawsze możesz spróbować sama. Stół stoi na wprost twojego łóżka, przy oknie. Poczujesz ciepło i światło. Estella może cię pilotować, jeśli ją poprosisz, prawda Estello?

- Jasne - przytaknęła dziewczyna. Po chwili znów zostałyśmy same.

- Przyniosły mi kleik owsiany - westchnęła moja sąsiadka.

Milczałam. Nie tknęłam też swojego obiadu. Leżałam tylko i z całych sił starałam się zapomnieć, kim jestem i co mi się przydarzyło, wpatrywałam się w czarną otchłań i nienawidziłam całego świata.

Tego dnia, po południu po raz pierwszy nikt mnie nie odwiedził: ani rodzice, ani bracia. Telefon także milczał.

Za to Estella miała gościa. Przyszła do niej mama, czułam jej perfumy. To były te same, których używała Janne. Zbiło mnie to trochę z tropu. Przez dłuższy czas miałam wrażenie, że moja przyjaciółka musi być gdzieś w pobliżu.

- Cześć, Leoniu - powiedziała matka Estelli, podchodząc do mojego łóżka. Odwróciłam się do niej, ale jeszcze mocniej zakryłam dłońmi twarz. Nie chciałam, żeby mnie zobaczyła.

- Słyszałam o twoim wypadku - kontynuowała. Miała taki sam głos jak Estella. - Bardzo mi przykro.

Usłyszałam, że wróciła z powrotem do łóżka swojej córki. Znowu się skuliłam do granic możliwości.

Dlaczego rodzice do mnie nie przyszli? Nawet nie zadzwonili? I która to może być godzina?

Wiedziałam, że na mojej nocnej szafce stał zegarek, który sprezentował mi w zeszłym tygodniu tato. Na górze miał taki guzik. Jak się go przycisnęło, komputer w zegarku podawał godzinę. Tamtego popołudnia, kiedy tato mi go przyniósł, był też Grischa i raz po raz naciskał guzik.

Leżałam, drżąc. Do tej pory sama jeszcze nie skorzystałam z zegarka. Kiedy jednak mama Estelli wreszcie pożegnała się i wyszła, nie wytrzymałam. Ostrożnie wyciągnęłam rękę w poszukiwaniu nocnej szafki. Od razu na nią natrafiłam. Wodziłam trzęsącymi się palcami niepewnie po przedmiotach, które się tam znajdowały. Płyty CD, szklanka z wodą mineralną, paczka chusteczek higienicznych... Wreszcie odnalazłam nowy budzik.

Z ulgą go chwyciłam. Nagle potrafiłam jakiś przedmiot! Aż skurczyłam się w sobie. Coś spadło na podłogę. Usłyszałam brzdęk tłuczonego szkła i cichy plusk wody.

- To był wazon z kwiatami - wyjaśniła Estella. - Nie przejmuj się, stał na samym

brzegu, każdy by go zrzucił.

W głowie mi huczało. Co za kwiaty? Nawet nie wiedziałam, że tu stoją. Co mnie podkusiło, żeby szperać na stoliku? Zrobiłam z siebie pośmiewisko przed Estella. Jak to wyglądało, kiedy po omacku, bezradnie macałam ręką!

- Trochę wody wylało się na twoje łóżko - usłyszałam ponownie sąsiadkę. - Mam zadzwonić po pielęgniarkę?

- Nie - sapnęłam.

Na chwilę zapadła zupełna cisza.

- Dlaczego ciągle jesteś taka zła? - spytała dziewczyna. - Po prostu taka już jesteś, czy może złościsz się na mnie o coś?

Milczałam.

- Powiedz coś - poprosiła.

- Daj mi spokój - odparłam kwaśno.

- Czy wiesz, dlaczego miałam operację? - Estella spytała cicho.

Milczałam, czując powstałą na pościeli mokrą, zimną plamę.

- Mam jedną nerkę, od urodzenia - wyjaśniła mimo wszystko. - Coś z nią jest nie tak. Prawie w ogóle nie pracuje.... Kilka razy w tygodniu przez kilka godzin mam robioną dializę, ale w ten sposób długo nie pociągnę. Dlatego trzeba przeszczepić mi nerkę.

Słuchałam jej, ale nie byłam w stanie nic powiedzieć. Obróciłam się tylko troszeczkę w jej stronę i spróbowałam uśmiechnąć do niej. Zresztą, nie miałam pojęcia, czy to zobaczyła.

Znów zrobiło się cicho.

Wsluchiwałam się w siebie.

Byłam strasznie głodna i marzłam w pościeli zmoczonej wodą z wazonu. Na domiar złego, w ogóle nie mogłam pojąć, dlaczego moi rodzice dziś nie przyszli, czułam się tak samotna i zapomniana. A do tego jeszcze wygłupiłam się przed Estellą. Nieszczęśliwa wsunęłam się głębiej pod wilgotną kołdrę. Cały czas ścisnęłam w rękach budzik. Tak schowana czułam się nieco pewniej. Przycisnęłam zegarek do ucha i wskazującym palcem delikatnie nacisnęłam okrągły przycisk.

- Siedemnasta czterdzieści cztery - usłyszałam miękki elektroniczny głos.

Już tak późno? I nikt nie przyszedł mnie odwiedzić? Leżałam, nic z tego nie pojmując. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - krzyknęła Estella.

- Dobry wieczór, dziewczyny - głos należał do Mette. - Leoniu, przyszedłam po ciebie. Masz wizytę u lekarza.

Słyszałam, jak zbliża się do mnie i zaraz zaskrzypiały obręcze wózka inwalidzkiego, na którym zawsze wożono mnie na badania.

W tej chwili pielęgniarka zauważyła rozbity wazon.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś po mnie? - spytała. Milczałam.

- Zresztą, nic się nie stało - dodała szybko. - Chodź, najpierw zawiozę cię do doktora Haselmayera, a potem to posprzątam.

- Kim jest doktor Haselmayer? - spytałam cicho, ze smutkiem, podczas gdy Mette pomagała mi usiąść na wózku.

- Jest jednym ze szpitalnych psychologów - odparła pielęgniarka.

Zmarszczyłam czoło. Na myśl przyszedł mi od razu tato. - Nie potrzebuję psychologa - bąknęłam. - Nie chcę nigdzie jechać.

Mimo to Mette zawiozła mnie na wizytę, a ja siedziałam w wózku jak otępiała. Czułam się chora, kaleka i śmieszna.

- Dobry wieczór, Leoniu - przywitał mnie jakiś głos, który zdawał się dochodzić z pewnej odległości.

Nic nie odpowiedziałam, tylko wcisnęłam z zacięciem zimne ręce między kolana. Najchętniej znów ukryłabym swoją twarz, ale z jakichś niejasnych powodów nie odważyłam się tego zrobić. Usłyszałam zbliżające się do mnie ciężkie kroki.

- Chętnie podam ci rękę - powiedział doktor Haselmayer. Milcząco wyciągnęłam do niego dłoń. Przytrzymał ją krótko.

- Chciałem zajrzeć do ciebie już dzisiaj w południe, ale miałem jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Dlatego spotykamy się tak późno.

Dalej milczałam.

- Jadłaś już kolację? - spytał psycholog.

Pokręciłam przecząco głową i ni stąd, ni zowąd zaczęłam się zastanawiać, ile też lat mógł mieć ten lekarz. Miał głos stosunkowo młody i miły, jakby należący do kogoś, kto jest atrakcyjny, jak choćby Siemen.

- Ja też nic nie jadłem i jestem głodny jak wilk - powiedział. - Może kažemy sobie coś przynieść? Co o tym myślisz?

Pokręciłam przecząco głową, choć tak głośno zaburczało mi w brzuchu, że obawiałam się, iż lekarz mógł to usłyszeć.

- Słyszałem, że migasz się od jedzenia, od kiedy zaczęłaś wstawać i pielęgniarki przestały cię karmić. Myślę, że cię rozumiem. Na pewno nie jest łatwo jeść, nie widząc jedzenia. A poza tym musisz najpierw sama to przećwiczyć, co trochę kosztuje.

Milczałam.

- Może jednak, mimo wszystko, spróbowałibyśmy? - spytał. Dalej nic nie mówiłam. Wyobraziłam sobie, jak męczyłabym się z niewidzialnym posiłkiem pod jego uważnym wzrokiem.

- Po prostu przetestujemy to razem - powiedział psycholog. Usłyszałam, jak idzie przez pokój, podnosi słuchawkę telefonu i zamawia dwie porcje. Zaraz potem rozległo się krótkie stukanie, a ja poczułam przeciąg od drzwi, które się za mną otworzyły. Rozległ się brzdęk kładzionych naczyń i sztućców, po czym drzwi znów się zamknęły.

- Usiądźmy przy stole - zaproponował. - Pomogę ci wstać z wózka, a potem przytrzymam za ramię i poprowadzę do stołu. Dobrze?

Skinęłam lekko głową. Poczułam zapach frytek.

- Dostaliśmy udka kurczaka z frytkami - oznajmił z zadowoleniem. - Do tego po małej sałatce.

Niepewnie szłam przez niewidzialny pokój.

- Tutaj jest krzesło - powiedział doktor, a ja ostrożnie usiadłam. Podobnie jak siostra Conny, lekarz wcisnął mi do ręki widelec i wyjaśnił, gdzie co jest na talerzu. Siedziałam niezdecydowana. Z jednej strony byłam strasznie głodna, z drugiej - miałam ściśnięte gardło.

- Rodzice nie przyszli do mnie dzisiaj - wyszeptałam nagle, choć wcale nie miałam ochoty tego powiedzieć.

- Wiem - odparł zagadkowo lekarz. Podniosłam głowę i znowu to straszne uczucie, że gdziekolwiek spojrzę, widzę tylko czarną czeluść.

- Byli dzisiaj rano u mnie - kontynuował. - Martwią się o ciebie. Nie dlatego, że jesteś niewidoma, tylko że tak bardzo czujesz się nieszczęśliwa i w ogóle nie chcesz z nimi rozmawiać.

Głośno przełknęłam.

- Wydaje im się, że swoimi wizytami sprawiają ci jeszcze większą przykrość.

Kiedy to usłyszałam, drżąc przechyliłam się aż do tyłu.

- Nie mogę znieść myśli, że ich już nigdy nie zobaczę - powiedziałam cicho. - I czuję się taka śmieszna, jak jakaś kaleka. Nie powinni mnie takiej widzieć. Bezbronnej jak małe dziecko. Nienawidzę myśli, że wszyscy mogą sobie mnie oglądać, tak jak im się to podoba. Nie mogę ścierpieć tego, że wszyscy widzą... Wszyscy... Oprócz mnie...

Głos mi się załamał, kiedy tak nagle, po długim czasie milczenia, tyle na raz powiedziałam.

Rozplakałam się. - Nawet nie wiem, w co jestem dzisiaj ubrana. Straciłam kontrolę nad sobą i swoim życiem. Nic już nie znaczę...

Plakałam chwilę, a doktor Haselmayer nie zareagował. Po prostu siedział przy mnie w milczeniu.

- Weź chusteczkę - powiedział w końcu, wciskając mi ją do ręki.

- Dziękuję - mruknęłam, wycierając nos.

- Mogę ci opisać, co masz dzisiaj na sobie - zaproponował. - Chcesz?

Przytaknęłam głową.

- No więc ubrana jesteś w czarne legginsy i szary, dopasowany T - shirt. Na nogach masz czarne skarpetki i pomarańczowe kaptcie. Na palcu prawej ręki nosisz ładny, srebrny pierścionek. Na twarzy jesteś trochę blada, bo dawno nie byłaś na słońcu.

Przerwał na chwilę. - Chcesz też wiedzieć, jak ja wyglądam? - zapytał. - Ale

przestrzegam, w jednym z tych seriali o szpitalu, grałbym co najwyżej niesympatycznego pacjenta.

Uśmiechnęłam się słabo.

- A więc, mam metr osiemdziesiąt cztery wzrostu, ciemnoblonde włosy, niebieskie oczy i, niestety, lekką nadwagę. Dzisiaj mam na sobie czarne dzinsy, białą koszulę i białe trampki. Nie ma we mnie nic szczególnego.

- ... tylko pański głos - powiedziałam cicho.

- Mój głos? Przytaknęłam.

- Co z moim głosem?

- Brzmi ładnie, to znaczy miło. Miło i wesoło. Przypomina mi troszeczkę głos mojego brata.

- Dziękuję - odparł doktor Haselmayer swoim ładnym, miłym i wesołym głosem.

- A teraz bierzmy się za jedzenie, zanim wszystko wystygnie.

Nic nie powiedziałam. Jednak spróbowałam. Wyszło mi lepiej, niż myślałam. Ostrożnie wbijałam widelec we frytki i na ogół udawało mi się w nie trafić. Kilka razy jednak uniosłam do ust pusty widelec. Zauważałam to, dopiero jak już miałam go w buzi.

Zaciskałam nerwowo usta, mając nadzieję, że doktor Haselmayer niczego nie zauważył.

- Nie przejmuj się, kiedy czasami ci nie wychodzi - powiedział w którymś momencie, kiedy znów uniosłam do ust pusty widelec.

Z sałatką radziłam sobie gorzej. Przypuszczałam, że narobiłam plam sosem, a dwukrotnie spadło mi nawet coś z widelca.

Udka kurczaka wzięłam po prostu do ręki, tak jak to robiłam kiedyś. Nadal obgryzanie mięsa nie sprawiało mi żadnych trudności.

- Świetnie - powiedział doktor, kiedy skończyłam. - Najadłaś się?

Przytaknęłam.

- Ja też.

W milczeniu siedziałam na krześle i czułam się zupełnie wyczerpana.

- Może wyjdziemy do ogrodu łyknąć trochę świeżego powietrza? - zaproponował nagle lekarz.

Drgnęłam i szybko potrząsnęłam głową.

- Nie chcę wychodzić.

- W porządku - odparł tak, jakby to było normalne nie mieć ochoty wyjść na dwór.

- Jednak możemy chyba stanąć przy oknie i zaczerpnąć trochę powietrza? Co ty na to?

Wzruszyłam ramionami. - Nie wiem - mruknęłam w końcu bezsilnie. Nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie znajdowało się okno.

Chwilę później usłyszałam, jak doktor Haselmayer otwiera je za mną. Poczułam świeży powiew.

- Mogę cię dalej poprowadzić, jak do stołu - zaofiarował się lekarz.

Zgodziłam się, gdyż nagle ogarnęła mnie tęsknota za tym wieczornym powiewem.

Podeszliśmy do okna i przystanęliśmy, ramię w ramię.

- Jaka jest pogoda? - spytałam.

- A jak myślisz? - odpowiedział pytaniem. Zmarszczyłam czoło. Później jednak wychyliłam ostrożnie głowę przez okno.

- Jest dość ciepło - powiedziałam z namysłem. - Nawet bardzo. Pachnie tak, jakby od kilku dni nie padało. Powietrze jest takie suche, jak w lecie.

Cofnęłam głowę. - Jaki dzisiaj jest dzień?

- Dwudziesty szósty czerwca - odparł doktor.

- Co takiego?! - krzyknęłam przestraszona. - Naprawdę jest już dwudziesty szósty czerwca?

- Naprawdę.

- Tak długo już tu jestem?

- Tak, tak długo już tu jesteś - powtórzył jak echo lekarz. - Co do pogody, to nie pomyliłaś się ani trochę. Tak dokładnie. Ja sam nie potrafiłbym jej opisać.

Milczałam, bo znów zaczęło mi wszystko wirować w głowie.

- Za dwa tygodnie mam urodziny - powiedziałam tak cicho, że nie miałam pewności, czy doktor Haselmayer mnie usłyszał. Jednak usłyszał.

- Wiem - odparł.

- Skończę szesnaście lat.

- Ładny wiek - rzekł lekarz.

Poczułam, że zaczynam drzeć. Moje szesnaste urodziny! Jak bardzo czekałam na ten dzień! Ileż to razy wyobrażałam go sobie...

- Żałuję, że nie umarłam - szepnęłam z rozpaczą, ukrywając twarz w dłoniach, które znów zrobiły się zimne.

- Mogę zrozumieć, że tak się czujesz - odparł niewidzialny lekarz. - To całkiem naturalne. Obiecuję ci jednak, że nadejdą jeszcze inne czasy. Lepsze czasy, w których będziesz cieszyć się życiem i dziękować, że przeżyłaś ten wypadek.

- Nie wierzę w to - szepnęłam.

- Jednak ja jestem tego pewien.

W którymś momencie odsłoniłam twarz, ale tylko dlatego, że zaczęły mnie boleć ramiona.

- Leoniu, w najbliższych dniach musisz podjąć kilka decyzji - odezwał się lekarz.

Nie zareagowałam, tylko podłamana chłonełam szmery dochodzące ze świata, który stał się dla mnie niewidzialny. Słyszałam nawet jednostajny szum samochodów, jadących w oddali.

- Niedługo będziesz mogła wrócić do domu. Rany głowy i inne obrażenia już się zagoiły. Nie ma powodu zatrzymywać cię dłużej w szpitalu.

Nagle poczułam, jak mi wali serce - wszędzie, w piersi, w szyi, w brzuchu i w głowie.

- Nie chcę wracać do domu! - wybuchnęłam. - Chcę zostać tutaj, proszę!

- Nie możemy już nic więcej dla ciebie zrobić. W domu będzie ci lepiej. Musisz teraz wrócić do normalnego życia, Leoniu...

Nie powiedział mi nic nowego - to samo słyszałam wielokrotnie od innych.

- Są dwie możliwości: albo zostaniesz w domu i tam będziesz się uczyć, jak sobie radzić, albo weźmiesz udział w programie rehabilitacyjnym w klinice dla niewidomych. Jeśli wolisz zostać w domu, będzie przychodziła do ciebie opiekunka na prywatne lekcje. W klinice będziesz mieszkać przez kilka tygodni z innymi niewidomymi.

- Nienawidzę tego słowa - wyrzuciłam z siebie.

- Jednak ono jest teraz częścią twojego życia - lekarz przypomniał mi delikatnie, ale stanowczo.

Wzruszyłam ramionami. - Chcę wrócić do mojego pokoju - poprosiłam cicho.

- Rozważysz te możliwości i poradzisz się rodziców i przyjaciół?

Przytaknęłam słabo.

- W porządku - powiedział lekarz. - Odprowadzę cię z powrotem. Wózek zostawimy tutaj. Już go nie potrzebujesz.

- Ale... - zaczęłam strachliwe, jednak zamilkłam.

- Położę ci znów rękę na ramieniu, ok? - zapytał. Potem poszliśmy przez niewidzialne dla mnie szpitalne pomieszczenia. Nie zatrzymywaliśmy się. Wydawało mi się, że minęło ze sto lat od czasu, kiedy tak szybko chodziłam.

Myślałam o tym, jak w przedszkolu bawiliśmy się w „ciuciubabkę” i wzajemnie się prowadziliśmy.

Było to emocjonujące, ale troszeczkę też i przerażające. Najfajniejszy moment był wtedy, gdy w końcu można było ściągnąć z oczu czarną chustkę. Wszystko wracało do

normy. Stało się na środku, przecierało powieki i częstokroć patrzyło ze zdziwieniem, gdzie też to się wylądowało. Potem przychodziła kolej na następnego. Z zawiązanymi oczami było można nawet całkiem szybko się poruszać, jeśli ufało się swojemu przewodnikowi. Wystarczyła jednak chwila nieuwagi, żeby wpaść na ścianę lub inną przeszkodę.

Nerwowo wyciągnęłam przed siebie ręce.

- Co się dzieje? - spytał doktor.

- Nie mogę tak szybko iść - powiedziałam nieszczęśliwym głosem. - Cały czas boję się, że w coś wejdę.

Resztę drogi przebyliśmy wolniej i ostrożniej. Znow miałam doła.

Chciałam widzieć.

Nie chciałam być niewidoma. Już wołałabym umrzeć.

Estella i ja miałyśmy być wpisane ze szpitala tego samego dnia.

- Już nie mogę się doczekać! - powiedziała koleżanka, która kilka tygodni wcześniej ukończyła szesnaście lat i miała już stałego chłopaka. W ostatnich dniach pobytu w szpitalu ciągle myślałam o Frederiku, o jego miękkich brązowych włosach, które układały się w loczki za uszami, kiedy długo się nie strzygł, o jego znamieniu w kształcie serca na ramieniu, śmiesznej brodawce na kciuku, przyrośniętych płatkach uszu, szerokich ustach, delikatnych dłoniach i gładkiej skórze.

Nigdy więcej tego nie zobaczę. Nigdy więcej już się nie pocałujemy i nigdy więcej nie będziemy ze sobą tak blisko, jak byliśmy tamtej nocy pod smukłą gruszą w naszym ogrodzie.

Chłopak Estelli ma na imię Clemens.

- Jest najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego znam - tak go opisała. - Prawie wszystkie dziewczyny z naszej klasy podkochują się w nim. Jednak na ostatniej wycieczce klasowej Clemens zakochał się we mnie. Możesz to sobie wyobrazić?! To mój pierwszy chłopak. Przed nim nikt się we mnie nie zakochał. Jestem przecież niska i chuda, a na dodatek niewysportowana. Cały czas muszę się przecież oszczędzać. Poza tym ciągle choruję. To go jednak nie odstraszyło.

Kiedy mi o tym opowiadała, sprawiała wrażenie, jakby ciągle jeszcze nie mogła w to uwierzyć.

Milczałam, było to jednak inne milczenie niż dawniej, kiedy się poznałyśmy: Estella wiedziała teraz, że wcale nie jestem na nią zła i że to nie z jej powodu zakrywam swoją twarz rękoma.

- Uważam, że ty jesteś o całe niebo ładniejsza ode mnie - powiedziała po krótkiej chwili.

Nadal milczałam.

- Masz superfigurę i ładną buzię. No i do tego jeszcze te niesamowicie długie rzęsy. Nigdy nie widziałam tak długich i gęstych rzęs jak twoje - dodała.

Przed tygodniem zdjęli mi opatrunek i od tej pory coraz częściej ukrywałam twarz w dłoniach, a przede wszystkim odsłonięte teraz i całkiem bezużyteczne oczy.

Podniosłam się nagle. - Estello, jeśli cię o coś spytam, odpowiesz mi szczerze? - poprosiłam z biciem serca.

- Jasne - odparła.

- Jak wyglądam z tymi... niewidzącymi oczami? Zapadła cisza. - Wygląda to zupełnie

tak, jakbyś miała zamknięte oczy - usłyszałam po chwili jej odpowiedź.

- Tak jakbym spała? - drążyłam.

- Niezupełnie - odparła Estella. - Wyglądasz na obudzoną. To raczej tak, jakbyś na chwilę przymknęła oczy, bo się mocno zamyśliłaś. Coś w tym rodzaju...

- Tylko że ta chwila będzie trwać całe życie - podsumowałam gorzko.

- Mimo to jesteś bardzo ładna - powiedziała koleżanka i podeszła do mojego łóżka, siadając na skraju. Ostrożnie wzięła mnie za rękę.

- Będę za tobą tęsknić - szepnęła.

- A ja za tobą - odparłam.

- Jednak cieszę się jak diabli, że wracam do domu - dodała.

- Ja wcale.

Potem przyszli rodzice Estelli i jej chłopak.

- Trzymaj się - pożegnała mnie cicho koleżanka.

- Ty też - odparłam, starając się z całej siły zachować spokój, choć wiedziałam, że matka Estelli i Clemens stoją przy moim łóżku i mogą mi się przyglądać.

- Będziemy do siebie dzwonić - powiedziała, a ja usłyszałam, że ubiera kurtkę.

- Tak - szepnęłam, odwróciłam się szybko w drugą stronę i zasłoniłam rękoma twarz.

Godzinę później pojawili się rodzice.

- Leoni, jesteśmy - powitał mnie tato, a ja poczułam, jak pochyła się nade mną. Pocałował mnie w czoło, ściskając mi jednocześnie rękę.

- Tak się cieszymy, że w końcu możemy zabrać cię do domu - powiedziała mama.

Milczałam, myśląc o tym, jak mi wczoraj powiedziała, że najlepiej dla mnie będzie, jeśli pójdę do kliniki dla niewidomych. Przynajmniej na jakiś czas.

- Poznasz tam nowe koleżanki i kolegów, którzy też są niewidomi - przypomniałam sobie jej słowa. - Poczujesz, że nie jesteś odosobniona. Nawiażesz nowe przyjaźnie...

- Nie chcę - mruknęłam, kurcząc się cała z rozpaczy. Nie chciałam przebywać z innymi niewidomymi. Nie chciałam mieć z nimi w ogóle nic do czynienia. Nie chciałam żadnych niewidomych przyjaciół. Przyszła mi na myśl Janne. Z nią też nie chciałam się spotkać. A na dodatek rodzice cały czas opowiadali mi, jak chętnie by mnie odwiedziła.

W ostatnich dniach mój telefon jednak rzadko dzwonił. Chyba wreszcie dotarło do nich wszystkich, że chcę mieć święty spokój.

Powoli podniosłam się. Przy wstawaniu troszeczkę się zatoczyłam.

- Ostrożnie - usłyszałam zdenerwowany głos mamy. Zacisnęłam zęby. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - zawołał tato.

- To ja, Leoniu - usłyszałam głos siostry Anji. - Chciałam się z tobą pożegnać. Mogę cię objąć?

Przytaknęłam głową, a pielęgniarka przytuliła mnie do swego pachnącego szpitalnym kitla.

- Życzę ci wszystkiego, wszystkiego najlepszego, Leoniu. Przyjdź nas kiedyś odwiedzić. Ucieszymy się...

Przytaknęłam znowu i ścisnęłam jej ciepłą dłoń. Jak Anja właściwie wyglądała? Miała jasne, czy ciemne włosy? Była ładna czy też brzydka?

Wolno szliśmy szpitalnym korytarzem. Mama trzymała mnie za rękę. Ze spuszczoną głową pozwalałam się jej prowadzić przez tę wrogą ciemność, która mnie zewsząd otaczała.

Siostry Conny i Mette też przyszły się ze mną pożegnać. Mette wręczyła mi różę.

- To z naszego ogrodu, moja mama wybrała ją dla ciebie - powiedziała cicho. - Kazała mi ciebie pozdrowić od siebie. Musisz do nas kiedyś koniecznie wpaść. Mama bardzo chciałaby cię poznać...

- Może kiedyś... - szepnęłam niepewnie.

Ostatnim, który pojawił się, by mnie pożegnać, był doktor Haselmayer.

- Nie trać odwagi, Leoniu - powiedział swoim pięknym, aksamitnym głosem. - Jeszcze będziesz kierować sama własnym życiem. A kiedy będziesz miała zły dzień, po prostu zadzwoń do mnie. Umówimy się na rozmowę, obiecujesz? Uzgodniłem to już z twoimi rodzicami.

- Tak... - powiedziałam prawie bezgłośnie. Z wyczerpania położyłabym się najchętniej na ziemię i tam zwinęła w kłębek jak chore zwierzę. Pragnęłam mocno zasnąć i nic poza tym.

- Na nas już czas - w tym momencie odezwał się ojciec. Jego głos drżał ze zdenerwowania. Usłyszałam, że dzwoni kluczykami od samochodu.

Nie odezwałam się, kiedy wsiadaliśmy do windy. Byliśmy tam sami, czy stał tam jeszcze ktoś inny?

- Mamo - jęknęłam błagalnie.

- Dziadku, co jest tej dziewczynce? - w tym momencie usłyszałam dziecięcy szept.

- Pssst, Aniu. Nie wolno tak pytać - odparł cicho zakłopotany męski głos.

- Ale dlaczego ona ma zamknięte oczy? - dziecko zapytało teraz głośnie.

Starszy pan milczał.

- Dziadku, powiedz - drażył maluch.

Drżałam na całym ciele z wrażenia. Mama głaskała zimną ręką moją równie zimną

dłoni. Nigdy dotąd nie miewała zimnych dłoni. Podobnie jak ja.

Winda zatrzymała się, a ja zrobiłam ruch ku wyjściu.

- Jeszcze nie tutaj, Leoniu - powiedziała cicho mama. Usłyszałam, że ktoś wsiada do windy.

- Czy ta dziewczynka nie widzi? - zapytało dziecko, tym razem znów szeptem.

- Zgadłaś - odezwał się nagle tato i odchrząknął. - Ta dziewczynka to moja córka, która miała ciężki wypadek. Jej oczy doznały obrażeń i dlatego przestała widzieć.

Kiedy skończył, zapadła całkowita cisza.

- Aha - odezwało się po chwili dziecko.

- Tak mi przykro - powiedział starszy pan z zakłopotaniem.

- W porządku - odparł tato.

Mama i ja nie odezwałyśmy się. Także osoba, która dosiadła się do nas w windzie, milczała. Po chwili byliśmy już na parterze.

- Do widzenia i wszystkiego dobrego. Jeszcze raz proszę o wybaczenie - powiedział starszy pan przy wysiadaniu, zanim odszedł z dzieckiem. Słyszałam jego ciężki chód, któremu towarzyszyły niemiarek podskoki jego wnuczki.

- A teraz prosto do domu - zapowiedziała matka, znów biorąc mnie za rękę.

- Właściwie który to szpital? - zapytałam cicho, dziwiąc się jednocześnie, że dopiero teraz przyszło mi to na myśl. W naszym mieście było kilka szpitali.

- Świętej Katarzyny - odparła mama.

Poczułam, jak kolana uginają się pode mną. Musiałam mocniej wesprzeć się na ramieniu mamy. Przecież w tym szpitalu przyszłam na świat, podobnie jak Siemen i Grischa! A mój młodszy braciszek leżał tu również, kiedy miał bronchit. Odwiedzałam go wtedy prawie codziennie.

Teraz nagle całkiem wyraźnie stanął mi przed oczami długi hol wejściowy, który akurat przemierzaliśmy. Okienko informacji tuż przy wejściu i rejestracja dla przyjmowanych pacjentów. Nieco dalej znajdowała się niewielka kwiaciarnia i kiosk. Przy ścianach stały pomalowane na czerwono ławki, a na prawo, obok drzwi wyjściowych mieściła się całkowicie zadymiona palarnia.

Chciałabym być martwa, tak jak moje oczy”, myślałam nieustannie, przechodząc ostrożnie przez szpitalny plac.

- Uwaga, krawężnik - ostrzegła mnie mama. Ostrożnie podniosłam wysoko nogę, ale i tak nie uchroniło mnie to przed potknięciem. Na szczęście mama w porę chwyciła mnie za ramię - Spociła się, czułam to wyraźnie. Był to jednak inny rodzaj potu niż ten, który pojawiał

się po długiej próbie w teatrze, kiedy padała w domu z wyczerpania i pierwsza zajmowała łazienkę.

Ten pot był mi obcy. Pachniał strachem, zmartwieniem i rozpaczą.

Nie chciałam go wachać, dlatego odsunęłam ramię mamy.

- Leoniu, proszę, chcę ci tylko pomóc - powiedziała.

- Ale ściskasz mnie za mocno - mruknęłam z rozdrażnieniem.

- Przepraszam. Nie chciałam - mówiąc to, znów ujęła mnie za rękę. - Tak lepiej?

Wzruszyłam ramionami, nic nie mówiąc. Najchętniej uwolniłabym się od niej i pobiegła przed siebie, by móc być wreszcie sama. Jednak wiedziałam, że to jest niewykonalne. Bo niby gdzie miałam biec? I jak? Już sama myśl o tym przyprawiała mnie o zawrót głowy.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział w tej chwili tato. Usłyszałam, że otwiera drzwiczki samochodu.

- Wsiadajcie - kontynuował.

Nagle wróciłam myślą do chwili, kiedy ostatni raz jechałam samochodem. To przecież wtedy straciłam wzrok, a moje życie legło w gruzach. Przełknęłam ślinę, a ponieważ zaschło mi w gardle z wrażenia, wyglądało to tak, jakbym zaczęła się dusić.

- Leoniu, wszystko w porządku? - zapytała mama.

- Co to za samochód? - szepnęłam, mając przed oczyma nasz stary, szaroniebieski saab, którym w kwietniu pojechaliśmy do lasu.

- Lancia - odparła. - Srebrna lancia. Mamy ją dopiero od trzech tygodni.

Milcząco pochyliłam się i ostrożnie usadowiłam na tylnym siedzeniu. Obok mnie usiadła mama.

- Dlaczego nie usiadłaś z przodu, koło taty, jak zawsze? - zapytałam nieufnie, a mój głos znów zaczął zdradzać niepokój.

- Pomyślałam, że tak będzie... - zaczęła nerwowo mama.

- Z powodzeniem mogę siedzieć z tyłu sama - przerwałam jej ostro. - Dlaczego traktujesz mnie jak niespełna rozumu kalekę?

Poczułam, że moi rodzice spojrzeli wtedy po sobie. Zaraz po tym mama bez słowa przesiadła się do przodu, a tato zapalił silnik.

Padłam na siedzenie zmęczona i wyczerpana. Ciemność wokół mnie sprawiała mi ból.

- Jedziemy teraz północną obwodnicą - odezwała się w którymś momencie mama. - A teraz jesteśmy całkiem na dole, przy Renie, tu, gdzie kiedyś puszczałyśmy latawcę, pamiętasz?

Nie odpowiedziałam.

- Teraz wjeżdżamy już do naszej dzielnicy. O, właśnie skręcamy w aleję Brentano.

Milczałam, resztkami sił powstrzymując się od płaczu.

„Aleja Brentano”. W myślach widziałam każde drzewo, które tu rosło. I to tak wyraźnie, że było to aż trudne do zniesienia. Ileż to razy spacerowałyśmy tutaj z Janne? Z Griszą i Siemenem także byłam tu tysiące razy. Dalej, gdzie aleja Brentano ostro skręcała w lewo, znajdowała się mała lodziarnia. Zawsze chodziliśmy tam z Frederikiem na lody malinowe.

- Teraz przejeżdżamy obok boiska - wyjaśniła mama. - A teraz mijamy kościół.

Milczałam.

- Jesteśmy przy lodziarni... - kontynuowała.

- Przestań! Nie chcę tego słuchać! - wybuchnęłam i zatkałam sobie uszy rękoma.

W samochodzie zapanowała cisza. Kilka minut później byliśmy już na miejscu.

W domu.

Znów w domu.

Tato otworzył od zewnątrz drzwi samochodu. Poczułam na twarzy powiew letniego wiatru.

Bardzo powoli i ostrożnie wysiadłam z auta. Ponownie zatoczyłam się lekko.

- Proszę cię, uważaj na nią - szepnęła mama do ojca. Już po chwili poczułam jego ciężką dłoń na moim ramieniu.

- Chodź, Leoniu - powiedział.

Ja jednak nie byłam w stanie zrobić kroku. Po prostu stałam tam jak wmurowana wiedząc, że jeśli za mną zaparkowany jest samochód, to na wprost mnie znajduje się dom. Nasz dom.

Z małym ogródkiem i dziką czerwoną różą wijącą się po lewej stronie. W głowie miałam zamęt, wszystko wirowało. Widziałam oczami wyobraźni nasz parkan i małą żelazną bramkę, a za nią nasz dwupiętrowy, biały dom z kolorowymi zasłonami w każdym oknie.

- Chodź, Leoniu, chcemy wejść do środka - powiedziała mama, delikatnie głaszcząc moje ramię.

- Nienawidzę tego wszystkiego - wyszeptałam z rozpaczą, robiąc kilka nieporadnych kroczków. - Żałuję, że nie umarłam.

Rodzice skwitowali to milczeniem. Powoli szliśmy przez ogródek. Żwir pod nogami skrzypiał jak zawsze, kiedy się po nim stapało. Ostatni raz chodziłam po nim razem z Frederikiem, kiedy wybieraliśmy się na wycieczkę do lasu za miasto. Bez troski stapałam po żwirze, jednak wtedy nie miałam pojęcia, jakie to wielkie szczęście móc biec po nim bez potykania się.

- Mamo, dlaczego akurat mnie musiało to spotkać? - szepnęłam, podczas gdy tato otwierał drzwi do domu.

Ona jednak nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

- Leonia wróciła! - krzyknął radośnie Grischa, i tuż potem przytulił się do mnie mocno. Objęłam go też, mojego małego, chudziutkiego, mądrego braciszka. To było miłe uczucie znów trzymać go w ramionach, ale instynktownie wiedziałam, że Grischa nie jest jedynym, który wyszedł z pokoju, by mnie powitać.

- Czy Siemen też tu jest? - spytałam nerwowo.

- Tak. Są też dziadek, Katie i Janne - szepnął mi na ucho brat.

Poczułam, że drętwieję.

- Hej, siostrzyczko! - po chwili Siemen przycisnął mnie do siebie. Odsunęłam się.

- Cześć, Leoniu - odezwała się cicho Janne. Jej głos brzmiał niepewnie, dobiegał jakby z daleka i nie był mi bliski, jak niegdyś.

- Chcę pójść do swojego pokoju - szepnęłam spanikowana i natychmiast ukryłam twarz w dłoniach.

- Chodź, pomogę ci - powiedziała szybko mama. Poczułam jej rękę na moim ramieniu. Pomalutku poprowadziła mnie przez przedpokój. Znów się potknęłam. Naraz nabrałam przekonania, że zaraz uderzę w ścianę. Przerazona wyciągnęłam przed siebie ręce i ponownie potknęłam się, chociaż nigdzie nie napotkałam żadnej przeszkody. Niechętnie macałam wszystko dookoła w ciemnościach, aż natknęłam się na starą szafę przy ścianie obok schodów. Wiedziałam już, gdzie jestem.

- Chcę iść sama - oznajmiłam bez ogródek.

- Ale... - zaczęła mama, jednak zamilkła, a ja poszłam dalej sama. Ostrożnie macałam przestrzeń znajdującą się przede mną. Czułam, że mama cały czas obserwuje mnie z tyłu.

Z przekorą pokonywałam stopień za stopniem, a potem korytarz, aż w końcu znalazłam drzwi do mojego pokoju. Drżącymi rękoma nacisnęłam klamkę i weszłam do środka. Głośno zatrzasnęłam za sobą drzwi. Oszołomiona stałam chwilę bez ruchu. Oczami wyobraźni widziałam swój pokój: okno, miękką wykładzinę na podłodze, łóżko, biurko, starą szafę z dużym lustrem, które miało długą zygzakowatą ryse, moje sztalugi, mały regał z farbami olejnymi, akwarelami, pędzlami i węglem, wysoką szafkę z książkami, wieżą stereo, kasetami i płytami CD.

Wszystko to zniknęło bezpowrotnie. Nie było już nic oprócz czarnej ciemności. Czarnej, złowrogiej, gorzkiej ciemności. Zrozpaczona dotarłam po omacku do łóżka. Moim pierwszym impulsem było po prostu rzucić się na nie i ukryć pod kołdrą. Jednak nawet tego nie byłam w stanie sama zrobić. Dlatego usiadłam ostrożnie na brzegu łóżka i powoli, ociężale jak ranny zwierz, zaczęłam przesuwając się dalej i w końcu opadłam na materac. Leżałam tak zeszywniała, we własnym pokoju czując się jak gość. Zabrakło mi już nawet łez, nic już nie mogłam. Jedyne co mogłam zrobić, to leżeć i wpatrywać się w ciemność. Po jakimś czasie rozległo się pukanie do drzwi. Nie zareagowałam, jednak i tak ktoś uchylił drzwi.

- Śpisz, Myszko? - usłyszałam głos taty. Nie poruszyłam się.

- Zaraz będzie obiad - kontynuował. - Cieszylibyśmy się, gdybyś zeszła do nas.

Nie spełniłam jego prośby. Słyszałam odgłosy rozmów, brzęk sztućców. Jednak nikt

nie wydawał się radosny.

Tego popołudnia jeszcze kilka razy pukano do drzwi mojego pokoju. Raz zajrzał do mnie dziadek. Zwinęłam się na łóżku i odwróciłam twarzą do ściany.

- Przyniosłem ci kilka walijskich ciasteczek. Postawiłem je na biurku - powiedział dziadek po angielsku swoim szorstkim głosem. - Spróbuj, są pyszne, moje złotko.

Milczałam.

Przyszła także Janne.

- Cieszę się, że jesteś już w domu - zaczęła ostrożnie. - I że przeżyłaś ten straszny wypadek.

Nadal milczałam.

- Fajnie, że wrócisz do szkoły.

Zaraz potem usłyszałam, że wychodzi, cicho zatraskując za sobą drzwi.

Co za głupoty tu wygadywała? Przecież nigdy nie wrócę już do naszej starej szkoły. Jak to niby sobie wyobrażała? Jak miałabym nadązać za nauczycielami na lekcjach? Poza tym, nie miałam zamiaru wystawiać się na pośmiewisko.

Następny był Grischa. - Leoniu, proszę, wstań - usłyszałam jego głosik tuż przy łóżku. - Obiecałaś, że pójdziesz ze mną na mecz. Właśnie mam trening.

Milczałam, zaciskając zęby.

Jako ostatnia przyszła mama.

- Nie jesteś głodna? - zapytała i usiadła obok mnie na łóżku. Nie odezwałam się. Poczułam jej rękę na moich zimnych plecach. W pewnej chwili przykryła mnie ostrożnie i pocałowała na dobranoc.

- Wiele bym dała, żebym to ja straciła wzrok, a nie ty - powiedziała w końcu po angielsku. Mama bardzo rzadko mówiła do nas w swoim ojczystym języku. Kiedy byliśmy mali, czyniła to częściej. Także wtedy, gdy czuła się bardzo szczęśliwa lub nieszczęśliwa. Zaczynała mówić po angielsku, gdy coś ją przestraszyło lub obudziła się w środku nocy. Najczęściej robiła to bezwiednie.

- Nie wiesz, co mówisz - odezwałam się cicho po angielsku. - Nie wiesz, jakie to straszne. I jak czuję się osamotniona. Jak to potwornie męczący.

Nic więcej nie powiedziałam. Słyszałam, jak mama cicho westchnęła i wyobraziłam sobie jej jasną, piegowatą twarz i jej piękne zielone oczy, które po niej odziedziczyłam.

Z pewnością patrzyła na mnie nimi teraz zmartwiona.

Nie wiadomo kiedy zasnęłam.

Kiedy się obudziłam, byłam w pokoju sama. Oszołomiona i zaspana podniosłam się.

Zastanawiałam się, która to godzina. Zaczęłam nasłuchiwać jakichkolwiek odgłosów, ale wszędzie panowała zupełna cisza. Czy to możliwe, by zrobiła się już noc? Gdzie, do diaska, podział się gadający budzik?

W szpitalu stał na mojej nocnej szafce, ale tutaj nie miałam takiego mebla. Wyciągnęłam lewą rękę i zaczęłam szukać po omacku. Obok łóżka, na podłodze zawsze leżały książki, które akurat czytałam. Może mama właśnie tam postawiła budzik? Rzeczywiście, odnalazłam go.

Z ulgą podniosłam i nacisnęłam guzik. - Dwudziesta trzecia jedenaście - oznajmił aksamitny, komputerowy głos.

Tak późno! Zamyślona usiadłam w ciemnościach. Czułam głód i byłam spocona. W pokoju było dość ciepło. Czy udałoby mi się otworzyć okno? Powolutku wstałam z łóżka. Pod stopami poczułam miękki plusz - znajome, miłe uczucie.

Niepewnie stanęłam pośród niewidocznego pokoju. Chwiejnymi, nieporadnymi krokami ruszyłam do okna. Zatrzymałam się, kiedy moje dłonie natrafiły na zimne szyby. Wymacałam klamkę i otworzyłam okno. Owiało mnie przyjemnie chłodne powietrze. Usiadłam na parapecie, rozkoszując się świeżymi podmuchami wiatru. Robiłam tak już wcześniej. Wiedziałam, że stąd roztacza się piękny widok na smukłą gruszę. Pod nią spędziłam swoją pierwszą noc z Frederikiem. Właściwie, to niewiele się wydarzyło. Kilka niewinnych pocałunków i jeden dłuższy, kiedy to nasze języki zetknęły się. Było mi tak dobrze. A potem zasnęliśmy, trzymając się za ręce. Myślałam o nim i czułam, jak bardzo mi go brakuje. Dziwne, całe moje życie stanęło na głowie, straciłam wzrok, stałam się bezradną ofiarą, którą trzeba się opiekować - to wszystko jednak nie zmieniło mojego uczucia do Frederika. Nadal byłam w nim zakochana.

Estella zwierzyła mi się, że spała ze swoim chłopakiem. Stało się to na krótko przed tym, jak trafiła do szpitala.

- Było tak pięknie - opowiadała. - Chociaż wszystko potoczyło się strasznie szybko. Sądziłam, że to trwa dłużej. Myślałam też, że będzie mnie boleć za pierwszym razem. Ale wcale mnie nie bolało, ani trochę, choć Clemens był tak podniecony, niespokojny i zmieszany.

Następnie Estella zapytała mnie, czy już z kimś spałam.

Potrząsnęłam przecząco głową. Nie chciałam więcej myśleć o Frederiku. Teraz też nic się nie zmieniło. Cokolwiek było między nami, dawno się już skończyło. Zresztą, nigdy właściwie nie zaczęło się tak naprawdę... Bo o czym tu mówić? Parę śmiesznych pocałunków po pijaku? To pewne, że tego wieczoru Frederik był na rauszu, skoro opróżnił prawie

ćwiartkę butelki *ouzo*.

„Leonia o oczach zielonych jak szmaragdy”.

To tylko stek bzdur. Z pewnością od dawna miał już inną dziewczynę, którą całował i której prawil komplementy.

Nagle poczułam, że marznę. Szczękałam zębami z zimna, a ręce i nogi były jak sople lodu. Nerwowo zeskoczyłam z parapetu i zamknęłam okno. Zrobiłam parę kroków w stronę łóżka, ale zanim do niego dotarłam, przyszedł mi do głowy szalony pomysł. Miałam ochotę wziąć gorącą kąpiel, żeby się rozgrzać. Czy było to w zasięgu moich możliwości? Z zaciśniętymi zębami przemierzyłam mój niewidzialny pokój i wyszłam na korytarz. Wszędzie panowała cisza jak makiem zasiał. Skradałam się wzdłuż ściany, wodząc lewą ręką po szorstkiej tapecie. Napotkałam dwa wyłączniki światła, troje drzwi i ogromną złotą ramę, w którą oprawiony był plakat Louisa Armstronga. Wreszcie dotarłam do łazienki, znajdującej się tuż za pokojem Katie. Otworzyłam drzwi, jak tylko mogłam najciszej. Wannę znalazłam na przeciwległej ścianie, po czym wymacałam kurek z ciepłą wodą. Wszystko poszło mi jak z płatka. Woda narobiła oczywiście trochę hałasu, szumiąc. Uderzała znajomo po dnie pustej wanny. Zaniepokojona zaczęłam nasłuchiwać odgłosów z korytarza. Nie chciałam, żeby ktoś mi przeszkodził w kąpeli, a nie mogłam zamknąć drzwi od łazienki. Od czasu kiedy przed dwoma laty Grisca zatrzasnął się w łazience i trochę trwało, zanim udało się otworzyć drzwi, w całym domu nie mamy kluczy.

Na szczęście wokół było cicho, a kiedy już do wanny naleciało trochę wody, szum stał się delikatniejszy. Czulałam na twarzy ciepło unoszącej się pary wodnej. Było to miłe uczucie. Ostrożnie zaczęłam się rozbierać. Ubrania składałam porządnie na małej komodzie. Następnie weszłam do wanny, woda była teraz ciut za gorąca. Powolutku usiadłam i zaczęłam szukać buteleczki z olejkiem do kąpeli. Zwykle leżał w drucianym koszyczku, który wisiał na ścianie nad wanną od strony głowy. Teraz jednak koszyk był pusty. Drżące ręce powędrowały brzegiem wanny na zewnątrz i na samym dole natrafiłam wreszcie na plastikowe butelki. Dlaczego nie leżały w koszyczku, jak zawsze? Po kolei brałam je do ręki i macałam. Żadna z nich nie przypominała mi kształtem butelki z olejkiem do kąpeli, którego wcześniej używaliśmy. Nerwowo obracałam pojemniki w dłoni. Mogły zawierać dosłownie wszystko: szampon, olejek do kąpeli, odżywkę do włosów albo płyn do mycia twarzy przeciwko pryszczom, który należał do Siemena. A nawet płyn przeciw pchlom naszego Hobbesa.

Ostrożnie odkręciłam jedną z tych trzech butelek i powąchałam zawartość. Odrzucił mnie ostry, żrący zapach. To musiał być środek do kąpeli kotów. Szybko odstawiłam na miejsce pojemnik i wzięłam kolejny. Ten miał kwiatowy, świeży zapach. Jednak zawartość

trzeciej butelki pachniała podobnie. Bezradnie trzymałam w rękach dwie butelki. W końcu zdecydowałam się na ostatnią i dodałam do kąpieli parę kropli znajdującego się w niej płynu.

Oparłam się o wannę, próbując nie myśleć o niczym. Czułam swoje ciało - wydawało się takie samo jak zawsze. Moje ręce powoli zaczęły wędrować po płaskim brzuchu, udzie, kolanie, dotknęły palców u nogi, powędrowały z powrotem do góry i przez chwilę głąskały pierś, potem ramię. Jak do tej pory czułam się zdrowa i normalna. Odetchnęłam i po raz pierwszy od dłuższego czasu znów się lubiłam. Przynajmniej odrobinę. W końcu drżącą ręką zaczęłam macać swoją twarz: brodę, usta, policzki i nos. Wszystko to miałam wyraźnie „przed oczyma”. To cały czas, jakimś sposobem, byłam ja. Jednak niezupełnie ja. Ostrożnie położyłam dłonie na zamkniętych powiekach. Zamrugałam, a rzęsy połaskotały ręce. Co kryło się pod tymi powiekami? Co właściwie pozostało po moich oczach zielonych jak szmaragdy? Lekarze powiedzieli mi, że obie rogówki zostały zupełnie zniszczone. Głową z całej siły uderzyłam o roztrzaskaną szybę naszego saaba.

Poczułam, że ulotnił się nagle przyjemny nastrój. Rozplakałam się. Płakałam tak długo, że woda stała się letnia, a ja zaczęłam się trząść z zimna. Nie mogłam jednak przestać płakać. To był spazm, który wstrząsał całym moim ciałem. Drżąc, wychyliłam się z wanny, wspierając się jedną ręką o brzeg stojącej obok umywalki. Drugą zaczęłam szukać ręcznika. Złowroga ciemność zdawała się niebezpiecznie mnie osaczać. Wreszcie znalazłam ręcznik, ale nie byłam w stanie wykonać nawet jednego ruchu. Stałam jak słup soli, zziębnięta, ociekając wodą, a ciemność wokół mnie sprawiała mi fizyczny ból.

Z rozpaczą wpatrywałam się w tę straszną pustkę.

„Muszę coś zobaczyć. Potrzebuję światła.

Światła.

Światła. Światła...”

Obracałam głową na wszystkie strony, przecierając moje bezużyteczne oczy zaciśniętymi w pięści rękoma. Nagle ktoś wziął mnie w ramiona.

- Mamo - zaszlochałam i wspierałam się ku gorze, przytulając do niej. Od jak dawna stała już u drzwi?

- Jestem przy tobie, moje maleństwo - powtarzała w kółko, a ja poprosiłam ją o coś, o co nawet Grisca już dawno przestał prosić. Zapytałam mamę, czy nie mogłabym resztę nocy spać razem z nią. Pozwoliła jej, by mnie ubrała, zupełnie jakbym była małym dzieckiem, potem ręka w rękę zeszliśmy do sypialni. Położyłam się między mamą a chrapiącym tatą.

Minął tydzień. Okropny tydzień. Za cztery dni przypadały moje szesnaste urodziny. Cały czas spędzałam zaszyta w moim niewidzialnym pokoju, pogrążona w letargu. Jadłam śniadanie, kiedy inni zasiadali już do obiadu, a wieczorem zamiast - jak inni kolację - jadłam odgrzany w mikrofalówce obiad. W środku nocy, gdy wszyscy już spali, drżącymi rękoma chwyciłam za jedzenie, które mama zostawiała mi z kolacji w pokoju. Robiła to pewnie wtedy, gdy spałam. Jedząc po omacku, musiałam niezłe brudzić. Byłam zrozpaczona i potwornie samotna. Poza porami, kiedy wstawałam coś zjeść, nie ruszałam się z łóżka. Nieszczęśliwa nasłuchiwałam znajomych odgłosów: dzwonka telefonu, automatycznej sekretarki, dzwonka u drzwi, kiedy rano listonosz przynosił pocztę, bulgotania ekspresu do kawy, buczenia zmywarki do naczyń, a także dźwięku skrzypiec Grischy, głosu Siemena, Katie, mamy i taty.

Leżałam w bezruchu w łóżku, targana na przemian rozpaczą i złością. Ciągłe przyciskałam pięści do mych zamkniętych oczu. Najgorsze były dni, kiedy wydawało mi się, że ktoś w domu ma dobry humor. Czy to Siemen, gwizdzący wesoło przy kąpieli, czy to Katie, która czasami dzwoniła do swojej matki w New Jersey i śmiała się, rozmawiając.

Zatrząskiwałam wtedy drzwi od swojego pokoju i włączałam na cały regulator radio - tak głośno, że nic ze świata z zewnątrz nie miało szansy dotrzeć do mnie.

- Leoniu, jutro przed południem przyjdzie do ciebie pani Abrahamian - oznajmiła mama, kiedy któregoś ranka wyjątkowo jadłyśmy razem śniadanie. Następnego dnia zaczynały się wakacje, a za cztery - przypadały moje szesnaste urodziny.

Ostrożnie wymacałam mój tost. Przy stole jadłam tylko w obecności mamy. Jeśli w kuchni był tato, Siemen lub Katie, zostawałam w swoim pokoju. Także przy Grischy nie chciałam jeść.

- Kim ona jest? - zapytałam nieufnie.

- Pani Abrahamian uczy, jak się poruszać i orientować w terenie - wyjaśniła mama. Wyczułam w jej głosie, że stara się, by brzmiało to pewnie i wesoło.

- Nie chcę, żeby przychodziła - odparłam rozdrażniona.

- Ona może ci pomóc, Leoniu.

Ręce zrobiły mi się całkiem zimne i nagle ścisnęło mi gardło. - Ale ja nie chcę, naprawdę nie chcę - wyszeptalam z wysiłkiem i odstawiłam talerz.

- Leoniu, proszę...

- Nie, do diabła!

- Tak nie może dłużej być! - mama podniosła nieco głos.

- Zgadzam się, tak nie może dłużej być! - krzyknęłam, z impetem wstając z krzesła. Pełna strachu uczepiłam się mojego wózka inwalidzkiego, by nie stracić orientacji.

- Nie możesz ukrywać się tu przez całe życie! - zawołała.

- I co zamiast tego powinnam zrobić?! - wybuchnęłam. - Może tam i z powrotem biegać z białą laską po parku?!

- A dlaczego nie?! - krzyknęła. - Lepsze to od siedzenia w pokoju...

- Nienawidzę cię! Tak bardzo cię nienawidzę! Wszystkich was nienawidzę! - krzyknęłam i z wyciągniętymi rękoma, potykając się, pospieszyłam do swojego pokoju. Gdy tam dotarłam, zatrzasnęłam za sobą drzwi i rzuciłam się do okna. Drżącymi rękoma zaczęłam szukać guziczka do spuszczenia rolety. W końcu znalazłam go i mocno nacisnęłam. Wcześniej nigdy ich nie używałam, nawet w nocy wołałam spać z zasuniętymi kolorowymi zasłonami. Teraz jednak spuściłam roletę, bo chciałam, by mój pokój dla wszystkich, nie tylko dla mnie, tonął w ciemnościach.

Zaraz usłyszałam stukanie do drzwi.

- Nie wchodzić! - zawołałam z rozpaczą.

- Leoniu, proszę - usłyszałam głos mamy.

- Po co przyszedłaś?

- Chciałam cię przeprosić.

Nie odezwałam się. Tymczasem mama weszła do środka. Nawet jednym słowem nie skomentowała panującej w pokoju ciemności.

- Leoniu, tak mi przykro - powiedziała tylko. - Nie powinnam była krzyżeć na ciebie...

Dalej milczałam.

- Jeśli nie spodoba ci się pani Abrahamian, odwołamy kurs. Ale proszę cię, chociaż spróbuj. Dobrze?

Nic nie odpowiedziałam, a następnego dnia przyszła nauczycielka.

- Cześć Leoniu - powiedział niski głos. - Jestem Laila Abrahamian. Uczę poruszania się w Szkole im. Ludwika Braille'a dla niewidomych.

Nic nie odparłam.

- Mogę usiąść obok ciebie? - spytała nauczycielka. Wzruszyłam ramionami.

- Masz bardzo ciemno w pokoju, ledwo cię widzę. Usłyszałam, jak siada na pluszowym dywanie. Ja sama siedziałam po turecku na łóżku.

- Może opowiem ci na początku coś o sobie - zaproponowała. - Pochodzę z Turcji,

mam czterdzieści dziewięć lat. Mam trzech synów, wszyscy cierpią na tę samą chorobę oczu. Dwóch już całkiem nie widzi, najmłodszy odróżnia jeszcze jasność od ciemności. Mój mąż wiele lat temu, kiedy dzieci były jeszcze małe, zostawił mnie. Wrócił do Stambułu i ożenił się ponownie. Z nowego małżeństwa ma też syna. Dziecko cierpi na ciężką wadę wzroku.

Milczałam, ale uważnie słuchałam tego, co mówi.

- Jeśli chcesz, możesz mi mówić po imieniu - zaproponowała. - Co ty na to?

- Hm - mruknęłam po długiej chwili. Choć „hm” nie oznacza ani „tak”, ani „nie”, pani Abrahamian odparła: - Wspaniale.

Potem rzuciła propozycję, by pójść na dwór.

- Przyniosłam ci laskę - wyjaśniła. - O, tutaj, weź do ręki. Poczułam, że wciska mi w dłoń wąską laskę.

- Kiedy jej nie potrzebujesz, wystarczy ją złożyć. Spokojnie zmieści się w torbie. Na zewnątrz jest jednak świetną pomocą, bo dzięki niej odnajdziesz drogę, którą chcesz iść.

Miałam wielką ochotę cisnąć ze złością laską i powiedzieć Laili, żeby łaskawie zniknęła i dała mi święty spokój. Jednak, nie wiedzieć czemu, nie zrobiłam tego.

- To co, przejdziemy się trochę? - spytała Laila.

- Tak... - odparłam cicho.

I tak wyszliśmy z domu. W ogrodzie spotkałyśmy Siemena, który majsterkował przy swoim rowerze górskim.

- Leoniu, widzę cię! - krzyknął, kiedy mnie zauważył. Nic nie powiedział na długą wąską laskę, której nawet nie umiałam trzymać.

- Hm - mruknęłam tylko. Na twarzy poczułam ciepło słońca. To było straszne uczucie - wiedzieć, że dookoła musi być bardzo jasno, a samemu przebywać w zupełnej ciemności.

- Twoje świadectwo przyniesie później Janne - ciągnął Siemen, który najwyraźniej był tego dnia w dobrym humorze. - Spotkałem ją przed szkołą. Mówiła, że znów miałaś piekielne szczęście dostać same szóstki.

Brat zaśmiał się pod nosem. - Nigdy nie zrozumieć, jak ci się to udaje! Moje świadectwo to całkowita katastrofa. Tato dostanie chyba zawału, kiedy je zobaczy. Jakby tego było mało, w przyszłym roku czeka mnie matura. Nic, tylko będę musiał dać łapówkę, żeby przez nią przebrnąć...

Znów się zaśmiał.

Ale nie ja. Zamiast tego, wdychałam ciepłe powietrze, czułam gorące promienie słoneczne na moim czole, wahałam zapach ściętej trawy z działki sąsiada i słuchałam cichego gwizdu ptaków, które baraszkowały na którymś z drzew. Nagle, mimo otaczającej mnie

ciemności, poczułam radość, że jestem na zewnątrz.

- To co, spróbujemy, Leoniu? - zapytała cicho Laila. Kiwnęłam twierdząco głową i ruszyliśmy. Naraz przepadła gdzieś moja odwaga.

- Cały czas boję się, że na coś wpadnę - wyszeptałam. - I przeraża mnie myśl, że ludzie gapią się na mnie...

- Jeśli chcesz, mogę położyć rękę na twoim ramieniu. Wiele osób, które dopiero co straciły wzrok, mówi, że uspokaja je myśl, iż nie są same.

W następnej chwili poczułam jej rękę na moim ramieniu.

- Laskę trzymaj o tak - powiedziała, układając mi ją prawidłowo w dłoni. - Tak jest dobrze - dodała zadowolona. - W ten sposób od razu czujesz, czy masz wolną drogę.

Poszliśmy wzdłuż ulicy.

- Przed nami jest chyba jakiś park - usłyszałam Lailę. Przytaknęłam. To właśnie tam chciałam iść owego feralnego dnia. Jednak i tak pojechaliśmy do lasu.

Pomyślałam o małym stawie z kaczkami, z przełożoną nad nim chwiejną kładką. Kitka razy malowałam w tym miejscu: raz pływające w kółko kaczki, innym razem staw z rosnącą nad nim płaczącą wierzbą i dziwnie fioletowe niebo (zresztą, tamten dzień zakończył się silną burzą), a kiedy indziej malowałam grupkę dzieci bawiących się na łące. Wtedy nie przeszkadzało mi, kiedy ludzie rzucali mi spojrzenia lub przyglądali się, jak maluję.

- Czy ludzie mi się przyglądają? - zapytałam cicho Lailę.

- Jedni tak, a drudzy nie - odparła nauczycielka ze spokojem. - Tak to jest, Leoniu. Wiele osób zżera ciekawość, kiedy zobaczą coś, co odbiega od ich własnego ciasnego dnia powszedniego. Przyglądają się wypadkom samochodowym, gapią na ludzi poruszających się na wózku inwalidzkim, oglądają się za bliźniakami, rudzielcami, żebrakami, gwiazdami ekranu, no i także za niewidomymi.

Przytaknęłam słabo i nagle poczułam, że lubię Lailę. Fajnie byłoby wiedzieć, jak wygląda.

Nadszedł dzień moich urodzin. Poprzedniego wieczoru tato zapytał mnie, czy nie chciałabym zostać do północy i wznieść toast za swoje urodziny z nim, mamą, Siemenem, dziadkiem i Katie.

- I ze mną! - krzyknął Grisha, rozjuszony, że został pominięty.

Ja jednak odmówiłam. - Jestem zmęczona - odparłam. Później i tak nie spałam. Dokładnie o północy zadzwonił telefon. Odebrała mama. Chwilkę potem cichutko zapukała do mojego pokoju. - Leoniu, nie śpisz? Frederik dzwoni...

Wpatrywałam się w ciemność wokół mnie, nie poruszywszy się. Mama przyniosła bezprzewodowy telefon aż pod moje drzwi, bo słyszałam, jak wyjaśnia do słuchawki, że prawdopodobnie już zasnęłam. - Nie jestem jednak pewna - dodała jeszcze. - Może tylko udaje, że śpi. Mówiła ze smutkiem, zaraz potem usłyszałam, że się oddala.

„Mam już szesnaście lat...”

Zawsze cieszyłam się na ten dzień. Planowałam, że tego lata razem z Janne i Lara zapiszę się na kurs tańca. Zamierzałyśmy też we trzy objechać na rowerze Holandię i odwiedzić w Amsterdamie tatę Lary, a w Hadze - jej babcię. Jesienią zaś chciałam zrobić motorowe prawo jazdy.

Teraz wszystko przepadło. Nieszczęśliwa i niespokojna przewracałam się z boku na bok. Nie wiem, kiedy zapadłam w dziwny półsen. Śniło mi się, że byłam z Janne na kursie tańca. Obie tańczyłyśmy jak szalone, ale w pewnym momencie wydarzyło się coś strasznego.

- *Twoje oczy! Co się z nimi stało ? - krzyknęła przerażona Janne, wpatrując się we mnie z przestraszeniem.*

- *A... co ma być? - jęknęłam niepewnie i rozejrzałam się nerwowo dookoła. Nikt nie tańczył. Wszyscy stali wokół mnie i przyglądali się. Zaczęłam drżeć. Co ze mną nie tak ? Dlaczego wszyscy tak dziwnie się na mnie gapią? Wstrząśnięci patrzyli na moją twarz z obrzydzeniem. Podniosłam ręce z zamiarem dotknięcia oczu. Ale one zniknęły, a moje palce natrafiły na głębokie, otwarte rany, którym - zdawało się - nie było końca.*

- *Nie, nie, nie... - mój szept przerodził się w krzyk i spazm. Spanikowana rozejrzałam się dookoła. Co stało się z moimi oczami ?*

- *Leoni, tam leżą - krzyknęła nagle Janne, wskazując na jasny parkiet. Spojrzałam w tamtym kierunku i rzeczywiście, były tam moje oczy.*

- *Jak to możliwe? - wyjąkałam poruszona i schyliłam się. Moje gałki oczne turlały się w podskokach po podłodze, a ja nie mogłam ich chwycić.*

- *Musisz je złapać. Natychmiast!* - krzyknęła Janne. - *Inaczej wyschną, to dzieje się szybko...*

- *Nie dam rady - płacząc, czołgałam się między stojącymi wokół dziewczynami i chłopakami. Nikt oprócz Janne nie przyszedł mi z pomocą. I stało się. Moje gałki oczne nagle zbiegły się w jednym miejscu i w następnej sekundzie wyglądały już jak suche rodzyнки.*

- *Nie trać odwagi - powiedział doktor Haselmayer, który nagle pojawił się w szkole tańca i, nie wiedząc czemu, siedział w fotelu bujanym, ustawionym na kontuarze.*

- *Musisz z powrotem zacząć żyć - powiedział ubrany na biało pielęgniarz. Po czym pocałował mnie w drżącą dłoń.*

- *I zjedz trochę ciasteczek walijskich - dodał mój dziadek i przeszedł obok z walizką. - Wracam do Anglii. Bez oczu nie jesteś taka ładna, Leoniu. Nie chcę już dłużej patrzeć na ciebie.*

- *Gdybym tylko mogła oddać ci swoje oczy!* - krzyknęła mama, która nagle pojawiła się między skamieniałą młodzieżą. *Zaczęła torować sobie między nimi drogę do mnie.*

- *Ale obrzydlistwo, Leoniu!* - usłyszałam głos Frederika, choć jego samego nigdzie nie zauważyłam. „*Widocznie był w Berlinie i widział mnie stamtąd*”, pomyślałam nieszczęśliwa.

- *Do widzenia, Leoniu o oczach zielonych jak szmaragdy...*

Jego głos cichł coraz bardziej, aż stał się słabo słyszalnym szeptem.

Jednym ruchem podniosłam się, moja twarz była mokra od łez. Drżąc, położyłam się z powrotem, próbując się uspokoić. W całym domu panowała teraz cisza. Nacisnęłam budzik.

- *Dwudziesta czwarta dwadzieścia siedem - usłyszałam. Zdezorientowana zmarszczyłam czoło, gdyż sądziłam, że jest już o wiele później. Wyraźnie jednak nie minęło nawet pół godziny od telefonu Frederika. Próbowałam ponownie zasnąć, ale byłam zbyt pobudzona. Poza tym musiałam pójść do ubikacji. Powoli i ostrożnie podniosłam się i wyszłam na korytarz.*

Ubiegłego roku o tej porze były u mnie Janne z Lara. Wznosiłyśmy toasty na wpół napełnionymi szampanem kieliszkami z okazji moich piętnastych urodzin. Miałyśmy wielką frajdę. Lara była wtedy zakochana w Siemenie i nie spuszczała go z oczu przez całą noc. Tato wyjechał na kongres do Monachium, ale mama świętowała razem z nami. Po północy zagraliśmy w „Die Siedler von Catan”^{**}, a potem w butelkę. Pamiętam to jeszcze dokładnie: Siemen musiał zaśpiewać stary, kiczowaty szlagier Udo Juergensa, klęcząc przed Larą jak zakochany trubadur, Janne przypadło zadanie obejścia całego domu na kolanach, porykując przy tym, mama wykonała przed nami taniec brzucha na stole kuchennym, a ja musiałam trzy

^{**}Osadnicy z Catanu - gra planszowa, przyp. tłum.

razy przebiec wokół domu, śpiewając „Hej, Pippi Langstrump”.

Oszołomiona stałam na korytarzu, wspierając się jedną ręką na wąskiej poręczy. Z tego miejsca rok temu śmiejąc się wystartowałam po schodach, żeby wykonać moje trzy rundki przez ogród - a co dzisiaj robiłam? Stałam tu, niepotrzebna, zapomniana, w zupełnej ciemności. Bezradnie, potykając się i posuwając wolno jak ślimak, próbowałam odnaleźć drogę do ubikacji. Ostrożnie podążyłam naprzód. Po kilku krokach dotarłam do sypialni rodziców. Nagle, po tej dzwoniącej w uszach ciszy, doszedł mnie czyjś głos. Zatrzymałam się, uważnie nadstawiając uszu. Usłyszałam przytłumiony płacz mamy.

- Helen, przestań, proszę - próbował uspokoić ją tato.

- Ja tego dłużej nie zniosę - szlochała mama i, jak zawsze, gdy była nieszczęśliwa lub wzruszona, przeszła na angielski.

- Wszystko będzie dobrze, jestem tego pewien - ojciec odpowiedział po niemiecku.

- Ale kiedy? - spytała niepokieszona.

- Już jest lepiej. Widzisz, znowu wychodzi na zewnątrz, zaczęła uczyć się orientacji w terenie. To obiecujący początek...

- Przyjrzyj się jej - płakała mama. - Serce mi się ściska, jak widzę ją taką bezradną, przygnębianą i słabą.

- To się zmieni, kiedy znów odnajdzie odrobinę radości w życiu - obiecał jej ojciec.

Przełknęłam ślinę i oparłam się ciężko o ścianę. Czulałam się tak słabo, że wydawało mi się, iż nigdy więcej nie będę w stanie zrobić choć jednego kroku.

- A jeśli nigdy już nie odnajdzie radości? Co wtedy? - dociekała mama.

- Tak na pewno nie będzie - odparł z wiarą tato. Na moment zrobiło się zupełnie cicho w sypialni.

- Pamiętasz jeszcze ten dzień przed szesnastu laty? - powiedziała w końcu mama. - Była na tym świecie dopiero kilka minut. Taka śliczna, delikatna i całkiem obudzona.

- Tak, była ślicznym dzieckiem, o wiele ładniejszym niż Siemen i Grischa - odparł tato. - Boże, była tak słodka, że nie mogłem oderwać od niej wzroku.

- Oczka miała jak dwie okrągłutkie, świecące gwiazdki - głos mamy znów przeszedł w płacz.

Powoli osunęłam się po ścianie, aż usiadłam na zimnej podłodze i otoczyłam rękoma kolana. Drżałam nie tylko z zimna, ale przede wszystkim z rozpacz i beznadziei, przysłuchując się płaczowi za ścianą.

W pewnej chwili zasnęłam. Obudziłam się dopiero wtedy, gdy ojciec wczesnym rankiem otworzył drzwi od sypialni i o mały włos nie potknął się o mnie.

- Boże drogi, Leoniu! - zawołał przestraszony. - Co tutaj robisz?

- Ja... Ja... - jękałam się. Podniosłam się i rozejrzałam w ciemności. W pierwszej chwili byłam zdezorientowana, gdzie w ogóle jestem. A potem przypomniałam sobie wszystko. Miałam szesnaste urodziny. W nocy przyśnił mi się koszmarny sen. A jeszcze potem podśluhałam nocną rozmowę rodziców.

- Chodź, odprowadzę cię do twojego pokoju - powiedział miękko tato, biorąc mnie pod ramię. - Jak to się stało, że zasnąłeś pod naszymi drzwiami?

Nie odpowiedziałam.

- Która godzina? - zapytałam w końcu. - Czy już jest dzień?

- Tak, jest tuż po szóstej - odparł tato. - Proponuję, żebyś teraz wzięła prysznic i ubrała się. A potem obudzimy resztę i wszyscy razem zjemy śniadanie. W końcu dzisiaj są twoje urodziny.

Usłyszałam, że otwiera szafę z ubraniami. - Co chcesz założyć?

Wzruszyłam ramionami. - Wszystko mi jedno - mruknęłam. - Chciałabym się położyć jeszcze na chwilkę. Czuję się tak potwornie.

- O, nie. Spałeś wystarczająco długo - odparł nieprzejednanie. - No więc, co chcesz dziś założyć?

Milczałam, zagryzając usta, by się nie rozplakać.

- Leoniu, odpowiedz - powiedział tato, delikatnie potrząsając mnie za ramię. Oczywiście nie sprawił mi bólu, ale wyczułam w tym geście zniecierpliwienie i stanowczość. Nie wytrzymałam i rozplakałam się.

- Możesz sobie popłakać - usłyszałam. - Mimo to musisz mi powiedzieć, co chcesz założyć.

- Cokolwiek, wszystko mi jedno - mruknęłam znowu.

- Nie, nie jest wszystko jedno - ojciec nie popuszczał.

- ok, ok! - wybuchnęłam. - A więc dzinsy i T - shirt. Pan psycholog zadowolony?

- Które dzinsy i który T - shirt?

Głos ojca brzmiał nad wyraz poważnie i stanowczo.

Zacisnęłam drżące ręce w pięści. - Co za idiotyzm?! - krzyknęłam. - Daj mi, do diabła, jasne dzinsy. Takie same ma Janne. Na nogawkach mają wyszyte liliowe kwiatki.

- Świetnie, Leoniu.

Usłyszałam, jak tato ściąga spodnie z wieszaka.

- Do tego, jeśli uda ci się znaleźć, wąską czarną bluzkę, którą przywiozłeś mi z Paryża...

Wyczerpana zakryłam rękoma twarz i dalej płakałam.

- Znalazłem - powiedział z zadowoleniem ojciec po chwili buszowania w mojej szafie.

- Weźmiesz sobie sama bieliznę i skarpetki?

Przytaknęłam słabo.

- A więc do dzieła! - pogonił mnie.

- Możesz spokojnie teraz zejść na dół - powiedziałam szorstko. - Nie potrzebuję strażnika...

- A wtedy ty znowu ukryjesz się w łóżku jak ślimak w swojej skorupie, a tego bym nie chciał - odparł tato, nie ruszając się z miejsca. Odgadłam to po jego oddechu, który dokładnie słyszałam.

Westchnęłam ciężko i podeszłam ostrożnie do szafy. Drżącymi rękoma otworzyłam szufladę, w której znajdowała się moja bielizna. Najładniejszy stanik miał kolor lila, a jego miseczki obszyte były u góry haftem. Szybko go znalazłam. Następnie zaczęłam szukać majtek. Ze skarpetek zrezygnowałam. Latem często chodziłam na bosaka.

- Do dzieła - powtórzył tato, po czym razem poszliśmy do łazienki. Wymacałam swój szlafrok i powiesiłam go obok kabiny prysznicowej. Tato zaś położył moje ubranie na małej komódce.

Oznajmiwszy mi to, zostawił mnie samą w łazience, a ja wślizgnęłam się czym prędzej pod ciepłą wodę. Potem ubrałam się i wolno zeszłam na dół, do pokoju.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedziała mama na mój widok, biorąc mnie pod ramię. - Leoni, jak ty ślicznie dzisiaj wyglądasz!

Jej głos ani trochę nie zdradzał tego, że w nocy tak bardzo płakała.

Z trudem przełknęłam ślinę, a potem odebrałam życzenia od braci, Katie i od dziadka.

- Najpierw prezenty czy śniadanie? - zapytał mnie tato. Wzruszyłam ramionami. Od kiedy straciłam wzrok, ani razu nie jadłam razem z rodziną. Przerazało mnie to. Jednak perspektywa niezgrabnego rozpakowywania po omacku prezentów również napawała mnie strachem. Mimo to zdecydowałam się w końcu na to drugie. Czułam zapach róż i palących się świec.

- Szesnaście żółtych świec i szesnaście czerwonych róż - wyjaśniła mi mama. Uśmiechnęłam się niepewnie, macając stół z prezentami.

Trochę ich dostałam i w mojej głowie zapanował zamęt. Rodzice wręczyli mi zegarek na rękę dla niewidomych i kilka kaset ze słynnymi książkami. Niektóre z nich kupili, a inne sami nagrali. Poza tym dostałam trochę ubrań i nowy komputer.

- Poza normalnym Windowsem ma także specjalny program, który czyta ci wszystko,

co pokazuje się na ekranie.

Wyposażony jest też w Braille'a, na którym możesz pracować, kiedy już nauczysz się pisma dla niewidomych - wyjaśnił tato.

Milczałam zdenerwowana, wcale nie ciesząc się z tych prezentów.

Dziadek właśnie wcisnął mi do ręki ciężki, duży pakunek. W środku znajdował się stary saksofon, który należał do niego. Wiedziałam, że dziadek kocha go nad życie.

- Pomyślałem, że może chciałabyś się nauczyć na nim grać - powiedział, głaskając mnie po policzku.

- Dziękuję... - szepnęłam.

Siemen подарował mi trzy małe paczuszki. Rozwinęłam je jedną po drugiej i w końcu trzymałam w rękach trzy małe figurki plastikowe.

- Co to takiego? - spytałam, macając je uważnie. Wszystkie miały na plastikowych główkach umocowane małe, cienkie haczyki.

- Czy to kolczyki? - spytałam niepewnie.

- Dokładnie - odparł zadowolony.

- Ale co to za figurki?

- A, tego nie zdradzę - uparł się Siemen. - Sama zgadnij, kobieca intuicja...

- Idiota - mruknęłam pod nosem. W pierwszym odruchu chciałam odłożyć kolczyki na bok, jednak nie zrobiłam tego. Z namysłem zaczęłam obracać je w dłoniach. Wydawały mi się znajome.

- Czy ten tutaj to Schlumpf*? - spytałam w końcu. - A ten to Obelix?

- Ale z ciebie szczerwana sztuka! - Siemen zawołał z uznaniem.

Uśmiechnęłam się słabo, jednak trzeciej figurki nie udało mi się rozpoznać.

- To jest Bart Simpson, ty głuptasie - wyjaśnił brat.

Odstawiłam trzy dziwne kolczyki na stół, obok innych prezentów. - Czy rzeczywiście myślisz, że założę sobie na uszy Schlumpfa, grubego Obelixa albo obrzydliwego Barta Simpsona? - spytałam, kręcąc głową.

- A dlaczego nie? - odparł na to Siemen. - Uważam, że te kolczyki są zabawne. Poza tym: „ładnemu we wszystkim jest do twarzy”, czy jak to się mówi. Nawet z Bartem Simpsonem w uchu...

Katie sprezentowała mi olbrzymią paczkę *marshmallows** i perfumy.

A od Grischy dostałam kasetę z nagraniem najpiękniejszych fragmentów jego gry na

*Schlumpf - postać z komiksu - przyp. tłum.

***marshmallows* - amerykańskie słodkie pianki do pieczenia nad ogniskiem - przyp. tłum.

skrzypcach. Potem zasiedliśmy do śniadania, tzn. moja rodzina jadła śniadanie, a ja tylko siedziałam. Nagle poczułam, że boli mnie głowa. Głosy innych roztopiały się w niej w dźwięczący hałas i szum. Po prostu nie potrafiłam nadążać za rozmowami. Ospała, samotna i skołowana siedziałam razem z nimi, będąc równocześnie o całe światy od nich oddalona.

Na obiad podano *chili con carne*, moje ulubione danie.

- Nie jestem głodna - oświadczyłam, kiedy wszyscy zasiedli za stołem.

- Ale spróbuj chociaż trochę - usiłował nakłonić mnie tato.

- Nie - odparłam.

Usłyszałam, jak ktoś stawia przede mną talerz.

- Leoniu, proszę - powiedziała mama błagalnym tonem. Pokręciłam przecząco głową, choć byłam głodna, potwornie głodna.

- Tutaj masz łyżkę - ojciec wcisnął mi ją do ręki. - Ale ja nie chcę jeść - szepnęłam.

- Leoniu, nic się nie stanie, jak trochę nabrudzisz - odezwał się nagle Grischa. - Przy śniadaniu sam spróbowałem jeść z zamkniętymi oczami. To bardzo trudne i tyle człowiek nabrudzi!

Przełknęłam ślinę, a potem sięgnęłam łyżką do talerza. Zrobiłam to w obecności moich rodziców, braci, Katie i dziadka. Jadłam powoli i ostrożnie, od czasu do czasu macałam palcem wskazującym lewej ręki, czy coś mam na łyżce, zanim uniosłam ją do ust. Szło mi całkiem niezle. Słyszałam rozmowy i śmiech bliskich, którzy zdawali się bardzo zadowoleni, jednak wiedziałam, że tak naprawdę obserwują mnie czujnie.

Kiedy w końcu opróżniłam cały talerz, odetchnęłam z ulgą. Miałam wrażenie, że inni też odetchnęli.

Po południu do drzwi zaczęli dzwonić goście, a ja sztywna, jakbym kij połknęła, siedziałam na naszej kolorowej sofie w pokoju gościnnym. Ciągle bolała mnie głowa.

W całym domu pachniało różami, świecami i ludźmi.

Wśród gości była Janne, która przyprowadziła ze sobą Larę.

- Cześć, Leoniu! - rzuciła niepewnie Lara. Milczałam, nie ruszając się z miejsca.

Także Tamara wpadła na chwilę. Przyszła niemal w tym samym czasie, co Laila Abrahamian, która podarowała mi ogromny bukiet słoneczników.

- Dotknij, Leoniu - powiedziała, wręczając mi go. - To największe słoneczniki, jakie kiedykolwiek widziałam. Sama zerwałam je z pola.

Poczułam, jak Laila chwyta mnie za ręce i przyciąga je do wielkich płatków.

- Piękne - szepnęłam.

Tego dnia zjawiała się u mnie nawet moja wychowawczyni. Najpierw uściśnęła mi tylko rękę, ale chwilę potem przygarnęła mnie do siebie i mocno objęła. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

- Leoni, chciałabym, żebyś nadal chodziła do naszej szkoły i uczyła się w mojej klasie - powiedziała zdecydowanie. - Przeszłaś teraz do dziesiątej klasy i jesteś dobrą uczennicą, dlatego myślę, że warto spróbować. Co ty na to?

W myślach ujrzałam panią Walentę, jak stoi przede mną. Była już w podeszłym wieku, była chuda i wysoka. Miała siwe, krótkie włosy i duży, haczykowany nos. Wydawała się nieprzystępna, ostra i pozbawiona poczucia humoru.

- Nie wiem - odparłam wyczerpana.

- Będziesz musiała nauczyć się alfabetu dla niewidomych - powiedziała, siadając obok mnie. - Dowiadywałam się. Zarówno w domu, jak i w szkole będziesz pracować na specjalnym komputerze. Wszystko, co napiszesz, będziesz mogła odczytać dzięki temu pismu. To będzie spore wyzwanie, ale myślę, że sobie poradzimy. Ty i ja...

- Ale ja nie wiem, czy tego chcę - powiedziałam niepewnie, z opuszczoną głową. Spróbowałam sobie to wyobrazić. Znalazłabym się w naszej starej klasie, wśród moich dawnych kolegów i koleżanek. Dla nich wszystko byłoby jak zawsze, a ja siedziałabym między nimi, niepełnosprawna i bezradna przy komputerze dla niewidomych, który służyłby jedynie mnie.

Na tę wizję pokręciłam przecząco głową, jednak pani Walenta nie zareagowała. Może nie patrzyła na mnie.

Zaraz potem przyszła niespodziewanie Mette.

- Cześć, Leoni! - przywitała się, ściskając mnie.

- Kto to jest? - usłyszałam, jak Lara pyta Janne.

- Nie mam pojęcia - padła odpowiedź. - Może była z Leonią razem w szpitalu.

- Jej twarz wygląda strasznie - odparła prawie bezgłośnie Lara. Czuję się całkowicie skołowana. „Co jest nie tak z twarzą Mette?”

- Przyprowaździłam swoją mamę - usłyszałam Mette w tym momencie.

- Cieszę się, że mogę cię poznać, Leoni - odezwał się obcy głos, który przypominał głos Mette.

- Dzień dobry - odparłam, przygryzając wargi. Po raz pierwszy rozmawiałam z kimś, kto również był niewidomy.

- Córka wiele mi o tobie opowiadała - kontynuowała. - Nie wiem jednak, co ty o mnie wiesz.

Milczałam.

- Przyszłam na świat już niewidoma, z jakiegoś powodu urodziłam się bez nerwu wzrokowego. Znam więc świat tylko spowity ciemnością i dla mnie jest on w porządku. To

znaczy, nie tęsknię za niczym innym. Jednak tobie musi być bardzo ciężko, mam rację?

Przytaknęłam zakłopotana.

- Leoni, przytaknięcie głową nic nie daje - powiedziała Mette i lekko się zaśmiała. - Musisz odpowiedzieć, kiedy rozmawiasz z kimś, kto nie widzi.

Poczułam, że oblewam się rumieńcem.

- Jestem garncarką - kontynuowała wesoło mama Mette. - Robię figurki, rzeźby. Może masz ochotę kiedyś mi pozować? Mam ładne atelier w centrum, prowadzę też kursy.

- Nie wiem - mruknęłam oszołomiona.

- Czy mogę dotknąć twojej twarzy? - spytała. - A może czułabyś się niezręcznie?

- Nie wiem - powtórzyłam bezradnie.

Chwilę później poczułam na swojej twarzy zimne, mocne palce. Przesunęły się po moim czole, zamkniętych oczach, nosie, policzkach, obwiodły moje usta i na ułamek sekundy dotknęły mojej brody.

- Piękna - powiedziała w końcu mama koleżanki. - Masz piękną twarz. Pociągła i delikatna, ale też troszeczkę agresywna i gniewna. Dobra mieszanka.

- Chcesz dotknąć mojej twarzy? - spytała Mette, a jej głos zabrzmiał nagle zupełnie inaczej.

Pokręciłam przecząco głową.

- Dlaczego nie?

- Nie chcę, żeby inni to widzieli - odparłam, wzbraniając się. - To chodźmy do twojego pokoju - zaproponowała. Zwlekałam chwilę, ale w końcu dałam się namówić.

- Fajnie masz tutaj - powiedziała Mette, kiedy już znalazłyśmy się na górze. Potem zwyczajnie wzięła moje ręce i położyła je sobie na twarzy. Na myśl przyszły mi nagle słowa Lary. Ociągając się, zaczęłam wodzić moją prawą dłońią po twarzy Mette. Jej wysokie czoło zdawało się gładkie, aksamitne i normalne, jednak pod oczami skóra była chropowata, twarda i szorstka.

- Co to jest? - spytałam przestraszona.

- Pięć lat temu miałam ciężki wypadek - powiedziała cicho. - Miałam twarz prawie całkowicie poparzoną. Od tamtej pory przeszłam już siedem operacji. Leoni, wyglądam strasznie.

Stałam zaskoczona. Mette z jej jasnym głosem zawsze wyobrażałam sobie jako śliczną, delikatną dziewczynę. Ani razu nie przyszło mi na myśl, że może wyglądać inaczej.

- Często ktoś, kto mnie widzi pierwszy raz, jest przerażony. A w szkole kilku chłopaków robi sobie ze mnie żarty - kontynuowała.

- Przykro mi - szepnęłam. Po chwili zeszyliśmy z powrotem na dół, a ja znów usiadłam na naszej kolorowej sofie. Mette i jej mama rozmawiały teraz z moją mamą. Wyczerpana osunęłam się na oparcie kanapy.

- Hej, Leoniu - powiedziała nagle Lara, sadwając się obok mnie. Ujęła moją dłoń i lekko ją uściśnęła. - Fajnie, że czujesz się już lepiej.

Uśmiechnęłam się słabo i pomyślałam o ślicznej buzi Lary: mała i proporcjonalna, z niedużym, prostym noskiem i ślicznymi, szeroko rozstawionymi błękitnymi oczami. Jej dość ciemne brwi tworzyły ładny łuk, a włosy miała jasnoblonde, u góry trochę kręcone. Tak właśnie wyobrażałam sobie twarz Mette.

- Po wakacjach rzeczywiście wrócisz do szkoły? - spytała w końcu.

- Nie mam pojęcia - mruknęłam.

- Powiedz, kim właściwie jest ta brzydka dziewczyna, z którą gdzieś wychodziłaś? - spytała Lara, zniżając głos.

- Ma na imię Mette - odparłam krótko. - I jest moją przyjaciółką.

- Naprawdę? - Tak.

- Jak to się jej udało? Wygląda okropnie. Ilekroć na nią spojrzę, aż chodzą mi ciarki po plecach...

- To nie patrz na nią - parsknęłam, odwracając się od Lary. Koleżanka nic nie mówiła przez chwilę. Potem odezwała się ostrożnie: - Przepraszam. Palnęłam głupstwo. Gniewasz się na mnie, Leoniu?

Wzruszyłam ramionami. Nagle nabrałam pewności, że nasza przyjaźń nigdy nie będzie już taka jak niegdyś.

Ucieszyłam się, kiedy goście jeden po drugim zaczęli się żegnać.

- Do widzenia po wakacjach, Leoniu - powiedziała na odchodnym pani Walenta.

Przemilczałam to.

- Na razie - odezwała się Lara, zamierzając cmoknąć mnie, jak wcześniej, w policzek, ale ponieważ ja najwyraźniej obróciłam głowę w złym kierunku, nie wyszło jej to: uderzyła nosem w moją skroń. Obie wzdrygnęłyśmy się zakłopotane.

- W każdym razie wyślemy ci mnóstwo pocztówek z wakacji - zapewniła Janne, ściskając mnie. - Twoja skrzynka na listy będzie załadowana po brzegi, obiecuję...

Dalej milczałam. Dopiero teraz Janne powiedziała mi, że wyprawa rowerowa przez Holandię i tak się odbędzie. Nawet beze mnie. Zamiast mnie pojedzie Anna. Chodziła z nami do klasy, była dość gruba, ociążała i bezkrytyczna w stosunku do samej siebie. Od lat próbowała wślizgnąć się do naszego kręgu - Janne, Lary i mojej przyjaźni. Teraz najwyraźniej

jej się udało. Poczułam się wyłączona.

- Do jutra, Leoni - powiedziała na pożegnanie Laila. - Przemyśl sobie jeszcze raz, co chciałabyś robić. Możemy pojechać po mieście albo zostać w domu i upichcić coś lekkiego. Na co tylko masz ochotę.

Skinęłam zmęczona, przytrzymując się mocno framugi drzwi wyjściowych.

- W piątek przyjdzie do ciebie Henry - oznajmiła nauczycielka. - On też nie widzi. Uczy pisma dla niewidomych i komputerowego programu Braille'a. To wesoły chłopak. Nie widzi, odkąd przed dwudziestu dwu laty przyszedł na świat jako lekki jak piórko wcześniak.

Zmarszczyłam czoło, po czym wróciłam do domu. Oszołomiona uciekłam do swojego pokoju i schroniłam się w łóżku. W głowie wszystko mi wirowało: poparzona twarz Mette, palce jej matki wodzące po mojej własnej okaleczonej twarzy, krytyczna uwaga Lary o wyglądzie Mette, propozycja wychowawczynie, bym nadal chodziła do starej szkoły, wycieczka rowerowa przez Holandię, na którą pojedzie teraz Anna, i lekcja alfabetu dla niewidomych, której się strasznie obawiałam.

Pogrążyłam się jeszcze bardziej w otaczającą mnie wiecznie ciemność. Jak z oddali usłyszałam pukanie do drzwi.

- Leoni, jeszcze goście do ciebie! - zawołała niepewnie moja mama.

- Nie dam rady! - odkrzyknęłam nieprzyjaźnie.

- Ale to są Frederik i Sebastian... - oznajmiła mi. Drgnęłam i poruszona podniosłam się. Frederik jest tutaj!

Sądziłam, że zeszłej nocy dzwonił z Berlina.

Nie może mnie zobaczyć! W żadnym wypadku!

- Mamo, nie! - powiedziałam łamiącym się głosem. - Proszę, nie chcę, by Frederik mnie...

Usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi.

- Nie, nie... - szepnęłam spanikowana, ukrywając twarz w dłoniach.

- Leoni, to tylko ja - uspokoiła mnie mama i przysiadła na brzegu mego łóżka. Objęła mnie ramieniem.

- Gdzie on jest? Czy jest z tobą?

- Siedzi na dole z Sebastianem, w pokoju gościnnym. Są z nimi Siemen i Grischa.

- Dlaczego przyjechał?

- Bo dzisiaj są twoje urodziny, Leoni. Myślę, że chce wreszcie z tobą porozmawiać.

Przecież od wypadku jeszcze cię nie widział.

- I tak powinno pozostać. Mamo, proszę.

Mój głosik brzmiał cienko i dopiero teraz poczułam, że policzki mam całe mokre od łez.

- Leoniu, nie rozumiem, przecież go lubisz - powiedziała po chwili ciszy mama, ocierając mi łzy.

Pokręciłam przecząco głową, potem skinęłam przytakująco, by znów zaprzeczyć.

- Mamo, proszę cię, nie pozwól mu tu wejść - szepnęłam błagalnie.

Usłyszałam, jak wzdycha. - Dobrze - powiedziała ze smutkiem w głosie.

- Obiecuj mi to - błagałam.

- Tak, obiecuję - odparła tylko. Usłyszałam, że wstaje i idzie przez pokój. Przy drzwiach zatrzymała się na chwilę, ale zaraz zatrasnęła je za sobą bez słowa.

Leżałam skamieniała. W głowie miałam pustkę.

Frederik tutaj był. Przyjechał specjalnie z Berlina, żeby się ze mną spotkać. Nagle poczułam przejmujący ból od stóp do głów. Ból rozpacz. Nie chciałam być niewidoma! Chciałam być zdrowa, by móc wyskoczyć z łóżka, zbiec na dół, do Frederika, rzucić mu się na szyję i pocałować go.

Poczułam, jak łzy spływają mi po policzkach. I w tym momencie usłyszałam czyjeś kroki pod drzwiami mojego pokoju. Wstrzymałam oddech. Czy to był Frederik? Czy to możliwe, żeby mama nie dotrzymała obietnicy i mimo mego sprzeciwu wysłała go do mnie, na górę?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Nie! - krzyknęłam przeraźliwie. - Nie!

- To ja, Leoniu - usłyszałam głos Sebastiana. - Czy mogę wejść?

A więc to nie Frederik stał pod drzwiami, tylko jego drobny brat bliźniak, który nosił okulary o grubych szklach jak Woody Allen. Ten sam Sebastian tracący wzrok, który w kwietniu próbował odebrać sobie życie.

- Tak, wejdź - odparłam ku swemu zdumieniu.

- Cześć, Leoniu! - powiedział Sebastian, wchodząc wolnymi, ostrożnymi krokami.

- Cześć!

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Dziękuję.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Czy mogę cię o coś zapytać? - przerwałam tę dziwną ciszę.

- Jasne - odparł.

- Dlaczego chciałeś... odebrać sobie życie? Usłyszałam jego niespokojny oddech i

sprawiło mi niemal ból to, że tak go napadłam z tym pytaniem.

- Bo wiosną poczułem się potwornie samotny - odparł drżącym głosem. - Wtedy właśnie zrozumiałem, że wszystkie te operacje nie pomogą mi i że stracę całkowicie wzrok. Każdego dnia widziałem coraz mniej. Doprowadzało mnie to do szaleństwa.

Skinęłam głowę, ale później przypominałam sobie słowa Mette.

- Tak, rozumiem - odezwałam się szybko.

- Z Frederikiem nie mogłem o tym porozmawiać - kontynuował Sebastian. - Byłem na niego tak wściekły, że najchętniej bym go zabił. Łamałem sobie głowę, dlaczego on ma zawsze szczęście, a ja ciągle pecha. Znow zapadła cisza.

- Czy mogę cię o coś jeszcze spytać? - przerwałam w końcu milczenie.

- Leoniu, możesz mnie pytać, o co tylko zechcesz - odparł.

- Ile jeszcze widzisz? Na przykład teraz widzisz mnie? Sebastian westchnął ciężko. - Jedyne jako rozplywający się cień. Odróżniam jasność od ciemności i zauważam niewyraźne obrysy ludzkich postaci, ale tylko z dość bliskiej odległości. To wszystko.

- Ja w ogóle nic nie widzę - powiedziałam cicho.

- Wiem - odparł Sebastian. - Najpóźniej za rok będę w twojej sytuacji.

- Zawsze tylko ciemność - szepnęłam.

Nagle wstałam i po omacku podeszłam do Sebastiana. Tak po prostu przytuliłam się do niego na chwilę. Pachniał miło, zupełnie jak Frederik.

- Hej, Leoniu - powiedział w pewnej chwili, odpychając mnie delikatnie od siebie.

- Przepraszam - odparłam i wróciłam po omacku do łóżka.

Mijał dzień za dniem. Chodziłam z Lailą do parku i do miasta, poznałam też Henry'ego i zaczęłam nienawidzić swojego komputera z powodu niewidzialnej, wprowadzającej w błąd klawiatury i jeszcze bardziej kłopotliwego w obsłudze programu Braille'a. Wciąż najchętniej zaszywałam się w moim pokoju, ale na posiłki musiałam schodzić już na dół.

Nie wiadomo kiedy Siemen wyjechał z kilkoma przyjaciółmi do Londynu, Grischa ze swoją orkiestrą na dwa tygodnie do Austrii, a tato był w delegacji w Szwajcarii. To była jego pierwsza podróż od czasu mojego wypadku.

Janne, tak jak obiecała, przysłała mi mnóstwo pocztówek: z Arnhem, Utrechtu, Alkmar, Amsterdamu, Rotterdamu, Hagi i z innych miast, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Lara z Anną bawły na każdej kartce swoje imiona, ale nic poza tym. Mama czytała mi każdą pocztówkę przy śniadaniu, jednak prawie jej nie słuchałam. Sebastian z Frederikiem także przysłali mi widokówki. Razem z rodzicami byli w Nowym Jorku. Frederik spędzał tam wakacje, a Sebastian miał badania w specjalistycznej klinice okulistycznej.

„...wszystko jednak na darmo - dopisał. - Wczoraj wyrzuciłem moje okulary do rzeki Hudson. Niech spoczywają w spokoju. I tak już od dawna były bezużyteczne...”

Siedziałam przed swoim niewidzialnym komputerem, kiedy mama odczytała mi kartkę od Sebastiana.

- Czy mam przeczytać teraz pocztówkę od Frederika? - spytała.

Pokręciłam przecząco głową. Nie chciałam o nim myśleć.

- Dobra, to idziemy dalej - powiedział Henry, który siedział obok mnie i przyciskał moje palce do klawiatury komputera.

- Ale już mi się odechciało.

- Nigdy nie masz ochoty - mruknął pod nosem. Tak to między nami było.

Lekcje z nim zawsze kończyły się zażartą kłótnią.

- Dość tego! Nienawidzę tego komputera! - zdarzało się, że krzyczałam. Częściej jednak wybuchałam po prostu płaczem. Raz nawet walnęłam zaciśniętymi pięściami w klawiaturę. - Gdybym mogła choć raz zobaczyć, jak poustawiane są literki! - krzyczałam zrozpaczona. - Tylko jeden, jedyny rzut oka. Czy tak wiele żądam?!

Nagle przyszedł koniec wakacji. Wraz z nimi kończyło się lato. Ostatniego dnia wakacji zaczęło lać, tak jakby oberwała się chmura. Zamyślona wsłuchiwałam się w głośnie

uderzenia kropli o szyby okna w moim pokoju. Przywiodło mi to na myśl dzień wypadku. Lało wtedy tak samo. Mimo to nadal lubiłam dźwięk rozpryskujących się kropli.

Nabrałam niespodziewanie ochoty na spacer. Podeszłam do telefonu i wykręciłam numer Janne.

- Janne, wybieram się do parku. Pójdiesz ze mną? - spytałam z bijącym sercem.

- Jasne, że idę - odparła przyjaciółka. - Tylko że strasznie zmokniemy.

- Nic nie szkodzi.

Umówiliśmy się, że Janne przyjdzie po mnie. To był pierwszy raz, kiedy wyszłam na ulicę bez Laili czy mamy.

Podkscytowana wskoczyłam w kurtkę i wymacałam swoją laskę, która zawsze oparta była o ścianę przy szafce w przedpokoju.

- Wychodzisz gdzieś? - spytała mama. Przytaknęłam głową.

- Sama? - nie mogłam nie zauważyć zmartwienia w jej głosie.

- Nie, z Janne.

W tym momencie rozległ się dzwonek i mama otworzyła drzwi.

- Cześć, Janne - powiedziała. A potem zdarzyło się coś zupełnie niewyobrażalnego. Mama zaczęła wyliczać mojej przyjaciółce, na co ma uważać, kiedy wyjdzie ze mną.

- Musisz uważać na krawężniki i w porę przestrzec o nich Leonie. Patrz też na rowerzystów, czasami jeżdżą jak szaleni, nie zwracając uwagi na nikogo. Pamiętaj też o samochodach wyruszających z podjazdów...

- Mamo, przestań! - krzyknęłam oburzona, chwytając za ramię stojącą obok Janne. - Chodź, zwiewamy - powiedziałam dobitnie.

Wyszliśmy, ale humor miałam już popsuty.

- Dlaczego nie dałaś znaku życia po powrocie z Holandii? - spytałam przyjaciółkę, gdy spacerowałyśmy już pod rękę.

- W drodze powrotnej zatrzymałyśmy się jeszcze na parę dni w Berlinie u Frederika i Sebastiana.

- Zatrzymałyśmy się? - powtórzyłam. - To znaczy kto?

- Ja, Lara i Anna - padła odpowiedź. Przystanąłam. - Byłyście we trzy u Frederika i Sebastiana? - Tak.

Poczułam się okropnie.

- Co słyhać u Frederika? - spytałam w końcu cicho.

- Oczywiście martwi się o ciebie - przyjaciółka zaczęła opowiadać. - Mówi, że tygodniami starał się z tobą skontaktować, ale nie chcesz mieć z nim nic do czynienia.

Wiosną naprawdę był w tobie zakochany, Leoniu. Myśli, że winisz go o to, co się stało, bo to był jego pomysł, by wybrać się na tamtą wycieczkę...

- To nie jest... tak... - wyjąkałam. - Ja zwyczajnie nie chcę, żeby mnie zobaczył taką ułomną i bezradną. Chciałabym, by zatrzymał mnie w pamięci taką, jaką byłam kiedyś.

Krople deszczu spływały nam po twarzach, a wokół pachniało jesienią.

- W każdym razie przez wiele tygodni był w kiepskiej formie z twojego powodu. Chodzi teraz z Anną i myślę, że chyba czuje się już lepiej...

- Jest z Anną? - przerwałam Jannie, wytracona z równowagi.

- No, tak, przynajmniej trochę. Odkryli, że oboje uwielbiają Włochy i kalmary. Poza tym chętnie słuchają Gustava Mahlera. Na razie zdaje się to wystarczać, ale nie sądzę, że jest z Anną tak zaangażowany jak był z tobą, Leoniu.

- Naprawdę jest z nią? - powtórzyłam. Miałam wrażenie, że świat wokół mnie jest nie tylko czarny, ale też jednym dotkliwym szarpnięciem staje się nie do zniesienia bolesny.

Frederiku, kochany Frederiku, czy pamiętasz jeszcze, jak mówiliś: „Leoniu, Leoniu, Leoniu...” i czy pamiętasz jeszcze naszą tamę wodną i rannego liska w lesie? A lody malinowe z bitą śmietaną, które tak często jedliśmy? Myślisz czasami o naszym pocałunku?

- Co to właściwie znaczy, że chodzą ze sobą? - szepnęłam, wieszając się na ramieniu przyjaciółki. - Całowali się?

- No, tak, trochę - odparła ostrożnie. - Przedostatniego i ostatniego wieczoru.

Ujrzałam oczyma wyobraźni okrągłą twarz Anny, jej arogancki, głupi uśmiezek, dołki w pyzatyh policzkach, brązowe, rozczochrane włosy i szydercze spojrzenie. „Jak to możliwe, że spodobała się Frederikowi?”

Cóż, widać nawet okrągła, nudna Anna była lepsza od takiej bezradnej kaleki jak ja.

- Chcę do domu - powiedziałam bezdźwięcznie do Janne. Po czym odwróciłyśmy się i zaczęłyśmy wracać.

- Jest ci przykro z powodu Anny i Frederika? - przyjaciółka spytała mnie cicho.

Wzdrygnęłam się. Już dwa słowa, „Frederik i Anna”, sprawiały mi ból. Mimo to potrząsnęłam przecząco głową. Chwilę później stałyśmy już przed moim domem.

- Chcesz się wysuszyć i pogadać jeszcze trochę? - zapytała Janne.

Odmówiłam.

- Ale jutro przyjdiesz do szkoły, prawda? - upewniła się przyjaciółka.

Przytaknęłam niechętnie.

- Przyjść po ciebie? - spytała.

Wzruszyłam ramionami i bez słowa odwróciłam się i weszłam do naszego ogrodu.

Janne stała jeszcze przy bramce i czułam, że patrzy za mną. Wyciągnęłam więc ramiona i zaczęłam iść nieco szybciej. Nie chciałam wyglądać jak kaleka, chciałam wyglądać normalnie i być normalną. No i wtedy oczywiście potknęłam się o coś i upadłam!

- Leoniu! - krzyknęła Janne i w okamgnieniu znalazła się przy mnie. - Leoniu, nic ci się nie stało?

Stało się. Zwichnęłam w przegubie prawą rękę i rozbiłam kolano.

Okazało się, że potknęłam się o piłkę Grischy, którą przez nieuwagę zostawił w ogrodzie.

Resztę dnia Janne została ze mną. Była w karetce razem z moją mamą, później wróciła i siedziała ze mną w pokoju. Przez cały ten czas nie zamieniłyśmy ze sobą ani jednego słowa. Jednak do wieczora usłyszałam trzy nowinki. Pierwszą zdradziła mi Janne. Znalazła sobie chłopaka. Od kilku dni chodziła z Konstantinem z naszej klasy, którego całkiem przypadkowo spotkała w ubiegłym tygodniu w poczekalni u ortopedy.

Drugą nowinę przyniósł Siemen. Wczoraj definitywnie zerwał z Tamarą, ponieważ zakochał się po uszy w innej dziewczynie. Zarówno Tamara, jak i Katie Crawford pałały gniewem.

Z trzecią wieścią przyszła mama. - Leoniu, dzwonił Sebastian - powiedziała. - Wyobraź sobie, że ma dziewczynę. Spotkali się na seminarium dla niewidomych i osób z wadami wzroku.

Milczałam.

Pięknie: Frederik miał Annę, Janne Konstantina. Siemen znalazł sobie właśnie nową dziewczynę. Nawet Sebastian z kimś chodził.

Tylko ja zostałam sama. Mną nie interesował się już nikt.

Powstało małe zamieszanie, zanim kuratorium oświaty, szkoła i nauczyciele doszli do porozumienia, by umieścić mnie przynajmniej na próbę w starej klasie. W końcu sprawa zakończyła się pomyślnie. Poza tym nie radziłam sobie jeszcze całkiem dobrze z komputerem, a jeśli chodzi o pismo dla niewidomych, to wyglądało to jeszcze gorzej.

- Może lepiej będzie, jak pójdę z tobą? - spytała mama przy śniadaniu.

- Nie - odparłam cicho. Byłam zmęczona, zdenerwowana i niewyspana, bo przez całą noc oka nie zmrużyłam, myśląc o Frederiku. I o szkole. I o tym, że wszyscy będą się na mnie gapić. I o znajomych korytarzach i salach, których nigdy więcej nie zobaczę.

Grischa, który dopiero następnego dnia miał po raz pierwszy pójść do szkoły, siedział z nami przy śniadaniu. Jednak zachowywał się cicho jak myszka, co nie było w jego zwyczaju.

- Już trochę umiem - odezwał się nagle, chwytając moją rękę. Następnie położył moje palce na jednym ze znieawidzonych przeze mnie kartoników z wypukłymi znakami, które przyniósł mi Henry do nauki alfabetu Braille'a.

- Dom, słońce, drzewo, ogród... - czytał z zadowoleniem Grischa.

Cofnęłam rękę ze wściekłością. - Zostaw mnie, panie Mądralo - mruknęłam i, usłyszawszy dzwonek do drzwi, ewakuowałam się czym prędzej z kuchni. Razem z Janne, która po mnie przyszła, ruszyliśmy do szkoły. Całą drogę drżałam ze strachu.

Padło i wiał chłodny, poranny wietrzyk, który pachniał trochę zbliżającą się jesienią. Miałam na sobie starą, spraną kurtkę dżinsową Siemena, a przez ramię - przerzucony swój czarny plecak. Na nogi założyłam nowe trampki, które brat przywiózł mi z Londynu. Były z miękkiego aksamitnego materiału, w czarno - żółty tygrysi wzór. Na nosie miałam okulary przeciwsłoneczne w stylu Blues - Brothers, także prezent od Siemena.

- Fajnie wyglądasz - powiedziała Janne.

W ręce trzymała moją laskę. Niedaleko szkoły spotkałyśmy koleżanki.

- Cześć, Leoniu! - przywitała się Lara.

- Cześć! - odparłam, uśmiechając się w kierunku, z którego dochodził jej głos.

- Cześć, Leoniu! - powiedziała Anna. Drgnęłam i nie odpowiedziałam.

- Chodźmy, dzwoni już na lekcję - rzekła Janne, chwytając mnie za ramię. Ostrożnie stawiałam kroki, starając skoncentrować się na drodze. Przeszliśmy przez szkolny dziedziniec i wkrótce stanęliśmy przed budynkiem, w którym uczyły się starsze klasy.

- Uwaga, stopień - ostrzegła mnie przyjaciółka. Skinęłam głową i razem

przekroczyłyśmy próg niskiego szarego budynku. Słyszałam odgłos naszych kroków po podłodze. Fakt, że znałam centymetr po centymetrze tej podłogi, a jednak poruszałam się w zupełnej ciemności, bardzo mnie przygnębił.

- ok, jesteśmy na miejscu - oznajmiła Janne. Weszłam do klasy i momentalnie zrobiło się cicho.

Drżąc stałam tam, nie wiedząc, co powinnam zrobić.

- Chodź, usiądźmy - szept Janne rozległ się w tej strasznej ciszy. Ja jednak nie mogłam się ruszyć, zrobić jednego kroku. Z końca klasy doszedł mnie czyjś szept, potem znów zapadła głucha cisza. Nigdy jeszcze w mojej klasie nie było tak cicho jak teraz.

Nagle usłyszałam za sobą czyjeś kroki i chwilę potem poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia.

- Cześć, Leoniu! - to był głos Konstantina.

- Cześć! - odparłam cicho.

- No, wchodź w końcu! - kontynuował żwawo, biorąc mnie pod ramię. - Z przodu, przy oknie Walenta postawiła komputer dla ciebie.

Konstantin pociągnął mnie ze sobą. - A co z wami? - rzucił pytanie w ciszę panującą wokół nas. - Siedzicie jak te ciotki! Wiedzieliście przecież, że Leonia dziś przyjdzie.

Jego słowa przełamały lody. Nagle zrobiło się głośno.

- Leoniu, postawiliśmy na twojej ławce kwiaty! - krzyknęła Karlotta.

- A na tablicy jest napisane: „Witaj w szkole!” - dodał Jonas.

- Masz superbuty - powiedziała Maja, ściskając mi rękę.

- Fajnie, że wróciłaś - ucieszył się Oezkan, klepiąc mnie po ramieniu.

Chwilę potem do klasy weszła pani Walenta.

- Znowu jesteś z nami, Leoniu - zwróciła się do mnie. Przez moment miałam okropne wrażenie, że obejmie mnie tak jak w moje urodziny. Na szczęście myliłam się. Odetchnęłam z ulgą i usiadłam, wymacawszy krzesło.

Zacząła się lekcja. Po prostu, jakby nic szczególnego się nie stało. Pani Walenta dyktowała nowy plan zajęć.

- Odpiszę ci - powiedziała cicho Janne. Przytaknęłam głową.

- Zajęcia artystyczne pozostają bez zmian, jak sądzę - upewniła się nauczycielka. - Czy też może ktoś chce zmienić kółko?

Z ciężkim sercem podniosłam do góry rękę.

- Ja muszę zmienić - powiedziałam cicho i zapisałam się na ten rok na lekcje muzyki.

- Wolisz chór czy orkiestrę? - spytała pani Walenta.

- Orkiestrę.

- A na jakim instrumencie grasz?

- Na saksofonie - odparłam odważnie.

- Bardzo dobrze - wychowawczyni wyraziła zadowolenie.

O godzinie dziesiątej dobiegł końca mój pierwszy „niewidzialny” dzień w szkole. Zeszliśmy na dziedziniec. Janne i ja trzymałyśmy się za ręce.

- Świetnie, że tak dajesz sobie radę - powiedział z uznaniem Oezkan. - Moja babcia w Turcji, która choruje na cukrzycę i jest niewidoma, ciągle narzeka. Ale ponieważ nic nie widzi, nie ma odwagi opuścić domu. Siedzi więc ze swoją kwaśną miną w kuchni i złorzeczy na cały świat.

Przytaknęłam słabo. Doskonale rozumiałam jego babcie.

Znajomy hałas dużego dziedzińca szkolnego działał na mnie dobrze. Stałam wraz z innymi przed budynkiem. Deszcz zaczął ustawać. Najpierw wspominaliśmy minione wakacje, jednak w którymś momencie Karlotta z pewnym wahaniem spytała mnie o wypadek. Potem, chcąc podnieść mnie na duchu, opowiedzieli mi o innych podobnych historiach. Kiedy poczułam się trochę lepiej, podeszła do nas Anna.

- Idziecie dzisiaj po południu do domu kultury? - spytała. - Grają „Gilberta Grape'a” w wersji oryginalnej. Johnny ze swoim aksamitnym głosem... Tego nie mogę przegapić!

Karlotta i Maja od razu się zgodziły.

- A ty, Janne? - spytała Anna, wciskając się między nas.

- Nie wiem - przyjaciółka odparła niezdecydowanie, choć wszyscy wiedzieliśmy, że uwielbia oglądać filmy z Johnnym Deppem. - Właściwie chciałam wpaść dziś po południu do Leonii...

Zrobiłam zaprzeczający gest. - Idź z nimi - powiedziałam szybko. - Dzisiaj i tak nie mam czasu - dodałam. Pomyślałam przy tym o Henrym, który miał mnie tego popołudnia zadreć alfabetem dla niewidomych.

- ok - odparła Janne. Po jej głosie trudno było poznać, czy odetchnęła z ulgą. Lara też umówiła się na film, podobnie jak Konstantin i Jonas.

Nagle wszyscy zaczęli rozmawiać o filmach, które wyświetlano ostatnio w kinach i które inni już obejrzel. Ja milczałam i przysłuchiwałam się rozmowie.

- Może wieczorem pójdziemy jeszcze do „Odlotowej”? - zaproponowała Maja. „Odlotowa” była dyskoteką, do której często razem chodziliśmy i do której, naturalnie, moje koleżanki i koledzy nadal będą chodzić. Nagle znów poczułam się bardzo samotna. Po prostu już nie należałam do ich kręgu.

- Pójdiesz z nami, Leoniu? - spytała Janne.

Akurat w chwili, w której chciałam pokręcić przecząco głową, rozległ się krzyk Anny:
- Janne, chyba kompletnie ci odbiło?! Jak to sobie wyobrażasz? Przecież ją tam zupełnie strażują, kiedy, nic nie widząc, będzie potykać się na parkiecie...

Nagle zrobiło się zupełnie cicho, jak wcześniej w klasie.

- Hrabianko Anno, jesteś rzeczywiście głupią, nieczułą idiotką - Konstantin odezwał się w końcu ze złością.

Zmroziło mnie. Jak też Frederik mógł polubić Annę? Powoli odwróciłam się i, owijając wokół siebie mocniej kurtkę Siemena, ruszyłam przed siebie.

- Leoniu, zaczekaj! Odprowadzę cię do domu! - zawołała Janne, ale pokręciłam tylko głową. Chciałam być sama. Powoli przemierzałam dziedziniec, torując sobie drogę laską. Po raz pierwszy szłam sama. Pomalutku, ostrożnie szłam, do przodu. Przesuwałam laską wzdłuż krawężników. Mimo to kilka razy zesłam z chodnika, raz ześlizgnęłam się po krawężniku, a raz o mało nie weszłam w ścianę domu. Oblały mnie siódme poty. Potem uderzyłam się o skrzynkę na listy, która wisiała na domu obok niewielkiej piekarni, i do której, od kiedy pamiętam, wrzucałam listy. Roztarłam pierś, gdyż uderzenie było dość dotkliwe.

- Mamusiu, co jest tej dziewczynce? - usłyszałam głos dziecięcy.

- Dziewczynka jest niewidoma - odparł kobiecy głos. Wzdrygnęłam się na te słowa. Ciągle nie byłam w stanie ich znieść.

- Czy mogę ci pomóc? - zapytała ta sama kobieta.

Potrząsnęłam przecząco głową. - Nie, dziękuję - odparłam cicho. - Dam sobie radę sama.

Pospiesznie szłam dalej. Moje kolana przy tym tak bardzo drżały, że liczyłam się z tym, że nogi mogą odmówić mi posłuszeństwa. Gdzie znajdowało się skrzyżowanie, które musiałam przekroczyć, by dostać się na aleję Brentano? Słyszałam samochody przejeżdżające tuż obok mnie. Stałam gdzieś, cała drżąc. Otaczająca mnie ciemność sprawiała, że poczułam się nagle zmęczona i straciłam wiarę. Czy mogłam w tym miejscu przejść na drugą stronę jezdni czy nie?

Nagle ktoś chwycił mnie za ramię. - Chodź, dziewczyno, pomogę ci - powiedział męski głos, a ja poczułam na zimnej twarzy czyjś ciepły oddech.

- Nie, proszę mnie zostawić - odparłam przestraszona, cofając ramię.

- To co, chcesz, żeby cię przejechał samochód? - spytał mężczyzna.

Milcząc, potrząsnęłam przecząco głową i zrobiłam kilka kroków do tyłu.

- Nie to nie - odparł nieznajomy z rozdrażnieniem i odszedł. Odetchnęłam i zaczęłam

nasłuchiwać odgłosów na jezdni. Kilka chwil później zrobiło się cicho. Powoli uniosłam swoją laskę, wyciągnęłam do przodu i zesłam z krawężnika na ulicę. I właśnie w tym momencie usłyszałam nadjeżdżający samochód. Przerazona zatrzymałam się. Kierowca mijając mnie, nacisnął kilkakrotnie na klakson. Drżałam i cofnęłam się na krawężnik, ale po chwili zmusiłam się do tego, by znów wejść na jezdnię. Ponownie wyciągnęłam laskę i tym razem nic nie usłyszałam. Ostrożnie zaczęłam przechodzić na drugą stronę. Jak daleko znajdował się krawężnik? Czy to możliwe, że szłam na ukos i dlatego mogłam nie natrafić na chodnik? Jednak odnalazłam go, a właściwie moje nogi, a nie laska. Potknęłam się i o mało co nie upadłam.

- Niech to diabli!... - mruknęłam zrozpaczona. Jednak udało mi się przejść na drugą stronę. Powoli szłam dalej. Tylko - zaraz, zaraz, w którym miejscu się znajdowałam?

W końcu stanęłam niezdecydowanie. Zdałam sobie sprawę, że straciłam orientację.

Nagle usłyszałam obok siebie czyjeś kroki.

- Przepraszam - szepnęłam.

- Tak...? - odparł czyjś głos.

- Czy jestem w pobliżu alei Brentano?

- O nie, moje dziecko, to dobry kawałek stąd w drugą stronę - odparł głos, który należał do starszej pani. - Chcesz, żebym cię zaprowadziła?

Kiwnęłam twierdząco głową. Na to nieznajoma lekko chwyciła mnie za ramię i obie ruszyłyśmy.

- Tutaj zaczyna się aleja Brentano - oznajmiła w pewnym momencie. - Dokąd to idziesz, moje dziecko?

- Do domu, ale stąd trafię już sama - odparłam. - Dziękuję pani za pomoc.

- Nie ma za co - odpowiedziała kobieta i odeszła w swoją stronę. Ja podążyłam do domu. Udało mi się!

Jednak po południu na nowo poczułam się zamknięta w ciemnej dziurze. Zaczęło się od tego, że przyszedł Henry i znowu wytrącił mnie z równowagi, bo po prostu nie radziłam sobie z alfabetem dla niewidomych.

- Nie chcę, nie dam rady dłużej - powiedziałam ponuro po kilku nieudanych próbach. Pomyślałam o Janne i innych, którzy byli teraz w kinie i niewątpliwie mieli frajdę.

- Ludzie! Leoniu, postaraj się choć trochę - odparł z rozdrażnieniem Henry.

- Ale zrozumiem, ja nienawidzę tych bzdur - parsknęłam.

- Z takim nastawieniem nigdy nie nauczysz się Braille'a.

- Może wcale nie mam ochoty się go nauczyć...

- To byłoby naprawdę głupie z twojej strony - skwitował zimno nauczyciel.
- No i co?! - krzyknęłam rozwścieczona, ciskając z biurka materiały Henry'ego.

I tak go przepędziłam.

Zostałam znów sama w pokoju. Rozpłakałam się.

Rodziców nie było w domu. Dziadek kilka dni temu poleciał z powrotem do Walii, a Katie wyszła gdzieś z Tamarą, z którą ostatnio się zaprzyjaźniła. Grischa był na lekcji gry na skrzypcach.

Tylko Siemen został w domu. Schował się jednak z nową dziewczyną, Leną, w swoim pokoju i zaznaczył, że mogę go wezwać tylko w razie najwyższej potrzeby.

Jak schwytyany dziki zwierzę, chodziłam tam i z powrotem po pokoju. No i stało się: poczułam, że puszcza mi nerwy. Zaczęło się od tego, że przy dreptaniu potrafiłam nogą sztalugi, które runęły na podłogę. Usłyszałam trzask łamiącego się drewna. Sztalugi musiały upaść niefortunnie. Otrzymałam je zaledwie przed rokiem. Wcześniej miałam takie gorszej jakości, niestabilne, dopiero na moje piętnaste urodziny tato sprezentował mi drogie sztalugi z prawdziwego zdarzenia. A teraz leżały zniszczone na podłodze.

Zniszczone jak ja, moje marzenia, uczucie do Frederika. Zniszczone jak moje życie...

Zaczęłam po nich zapamiętale skakać. Potem cisnęłam moimi farbami olejnymi przez pokój. To samo uczyniłam z węglem do rysowania i pudełkiem z akwarelkami. Następnie zabrałam się za blaszaną puszkę, w której stały pędzle, i za książki, których już nigdy nie przeczytałam. I za płyty CD, których sama nie będę mogła wybrać. Narobiłam straszliwego hałasu i pewnej chwili zorientowałam się, że nie jestem w pokoju sama.

- Kto tu jest?! - krzyknęłam ze złością.

- Ja - odparł spokojnie Siemen. - Lena też jest.

- Cześć, Leoni! - odezwała się w tym momencie dziewczyna mojego brata.

- Zjeżdżajcie! - zawołałam. - No już, wynocha z mojego pokoju!

- Co ty, Leoni... - zaczął Siemen i w tej chwili zdałam sobie sprawę z czegoś strasznego: rozplýwał mi się już dokładny obraz brata. Jego oczy, nos, usta, blond włosy - to wszystko gdzieś jeszcze miałam w pamięci, ale nie mogłam poukładać tego w jedną całość... Zabrakło pełnego obrazu... Jak to możliwe?

- Siemen... - załkałam. - Siemen, nienawidzę swojego życia. Wolałabym umrzeć. Nie chcę być niewidoma. Jaki sens ma teraz moje życie? Dla wszystkich jestem ciężarem. Dla ciebie, mamy, taty... Dla Janne i Frederika... Bez wyjątku, dla wszystkich. Naprawdę żałuję, że nie zginęłam w tym przeklętym wypadku.

Plakałam tak rzewnie jak małe dziecko, a Siemen wziął mnie w ramiona i kołysał,

jakbym była maluchem.

Dziewczyna Siemena nagle zniknęła.

- Dlaczego Lena sobie poszła? - spytałam brata po dłuższej chwili. Siedzieliśmy razem na moim pluszowym dywaniku. Wokół musiał panować niezły bałagan. Rozrzucałam przecież wcześniej wszystko jak wariatka.

- Nie wiem - odparł Siemen. Dokładnie w tym momencie Lena wróciła.

- Hej, Leoni, mam coś dla ciebie - z tymi słowami wcisnęła mi do ręki małe, puchowe zwierzątko. - Uważaj na jego pazurki. Potrafi drapać - ostrzegła.

I tak dostałam Tygryska. W podarunku od Leny, nowej dziewczyny Siemena.

- Mały kotek? - spytałam zdziwiona i pogłaskałam rozkoszne maleństwo, które drząc i cichutko miaucząc, siedziało mi na ręce.

- Tak, moja kotka okociła się już osiem tygodni temu. Na świat przyszło pięć kociąt - wyjaśniła Lena, a ja poczułam, że siada obok mnie. Zaczęła głaskać kotka i nasze palce kilka razy zetknęły się ze sobą.

- To mały kocurek - kontynuowała. - Jest cały w rude plamy, a na czole ma śmieszna białą łatkę. Uważam, że jest najładniejszy z całej piątki.

- Dlaczego chcesz mi go dać? - spytałam, marszcząc czoło. - Jeśli tak ci się podoba, może powinnaś zostawić go dla siebie?

- W domu nie ma wystarczająco dużo miejsca dla dwóch kotów - wyjaśniła dziewczyna.

- A nikt obcy nie chce wziąć Tygryśka. Pozostałe cztery kocięta rozdaliśmy już wczoraj.

- Dlaczego nikt go nie chce? - zdziwiłam się. Mały kocurek zwinął się tymczasem w miękkie kłębek na moich kolanach i zaczął głośno mruczeć.

- Dotknij jego główki - powiedział do mnie Siemen. Słyszałam, że sprzątał porozrzucane po pokoju rzeczy.

Zdezorientowana zaczęłam macać malutką głowę Tygryśka. Nagle przyszła mi na myśl Mette. Czy coś było nie tak z Tygryśkiem? Ale Lena powiedziała przecież, że jest śliczny.

Kotek swoim małym, szorstkim językiem zaczął lizać mnie po palcach.

- Co z jego głową? - spytałam.

- Chodzi o jego oczy - wyjaśniła Lena. - Nie otworzył ich. Ślepe rodzą się wszystkie kocięta, ale po kilku dniach już widzą. Jednak nie Tygryśek. Byłam z nim u weterynarza. Powiedział, że z jego oczyma coś jest nie tak i dlatego nigdy nie podniesie powiek.

- Weterynarz chciał go uśpić - dodał Siemen.

W tej chwili mały, ślepy kocurek zaczął rozkosznie przeciągać się na moich kolanach. Bardzo ostrożnie sięgnęłam znowu ręką do jego główki. Powiodłam czubkami palców po mordce kota i wymacałam oczy. Rzeczywiście były zamknięte i nie ruszały się pod miękkimi, delikatnymi powiekami.

- Kochany, ślepy Tygryśek - szepnęłam.

- Kochana, ślepa Leonia - usłyszałam Siemena, który pochylił się nade mną od tyłu i

objął mnie na moment.

Załkałam. - Dziękuję - powiedziałam po chwili do Leny.

- Proszę bardzo - odparła.

Nagle po raz pierwszy od dłuższego czasu poczułam się dobrze.

Moje przybory do malowania podarowałam Grischy. Razem z rodzicami odprowadziłam go pierwszego dnia do szkoły.

A wspólnie z Lailą poszłam do supermarketu po jedzenie dla Tygryśka.

Poskromiłam jakoś Hobbesa, który na początku był bardzo rozzłoszczony z powodu obecności w domu drugiego kota.

Rano szłam z Janne do szkoły, a popołudniami, pogodzona z losem, uczyłam się z Henrym pisma Braille'a.

Zaczęłam także grać na saksofonie. A kiedy nagle zmarł stary Rosjanin, nauczyciel gry na skrzypcach, u którego od niepamiętnych czasów pobierał lekcje Grischa, próbowałam jakoś pocieszyć mojego młodszego brata.

- Nic mnie nie cieszy, od kiedy zabrakło pana Belyi - płakał Grischa na swoim łóżku piętrowym. Ostrożnie wspierałam się na górę i usadowiłam obok szlochającego malucha. Głaskałam jego wąskie, szczuplutkie plecy, myśląc o tym, jak u niego kiedyś Grischa wlaźł do mojego szpitalnego łóżka i pocieszał mnie. Braciszek też musiał widocznie o tym pomyśleć, bo nagle podniósł się odrobinę i odezwał cicho: - Pewnie znów będę się cieszył, także bez pana Belyi, tak jak ty znów się cieszysz, choć nic nie widzisz. - Przynajmniej czasami... - dodał po chwili. Potem objął mnie i pogłaskał po zamkniętych powiekach, podobnie jak ja kiedyś głaskałam Tygryśka. Tylko Grischy pozwalałam dotknąć moich powiek.

Któregoś dnia zdradziłam Siemenowi, że w pamięci zaczynają zacierać mi się rysy jego twarzy. Wtedy wziął moje ręce i dotknął nimi swojej twarzy. Najpierw się nastroszyłam.

- Nie udawaj, ślepa kuro - powiedział z mocą Siemen, łapiąc mnie za nadgarstki.

I w końcu wodziłam ostrożnie po twarzy brata, tak jak kiedyś robiła to samo mama Mette z moją twarzą. Czułam bicie serca, mimo to było to miłe odczucie.

Tego wieczoru zameldowały się u mnie Janne z Estellą. Dzisiaj zaczynały się ferie jesienne, a wczoraj Katie Crawford poleciała do New Jersey.

- Może gdzie się wybierzemy? - spytała Janne, kiedy tylko przekroczyła próg mojego pokoju.

- Nie wiem - odparłam, odpychając Tygryśka, który cały czas wskakiwał mi na stopy i swoimi małymi, ostrymi pazurkami chwycił się moich skarpetek. Kilka dni temu zawiesiłam mu na szyi tasemkę z dzwoneczkiem, tak bym zawsze wiedziała, gdzie się znajduje.

- A co powiesz na kino? - zaproponowała Janne. Drgnęłam na te słowa. - Kino? - powtórzyłam przerażona.

- A dlaczego nie? W domu kultury grają „Pół żartem, pół serio”. Widziałaś już kiedyś ten film, prawda?

Przytaknęłam zamyślona.

- No więc, masz ochotę na kino czy nie?

Nie byłam pewna, ale Janne z Estellą przekonały mnie w końcu i pojechałyśmy autobusem do miasta. Nagle zrobiłam się bardzo wesoła, jednak kiedy stałyśmy przy kasach kinowych usłyszałyśmy, jak kilka dziewcząt w kolejce za nami rozmawia o mnie.

- Ta z przodu jest chyba ślepa, nie sądzisz? - szepnęła jedna z nich.

- Jasne, trzyma przecież białą laskę. Poza tym na ramieniu ma znaczek niewidomych - odparła druga, już głośniej.

- Dlaczego ktoś, kto nic nie widzi, idzie do kina? To kompletny idiotyzm - odezwał się trzeci głos.

Opuściłam głowę i najchętniej rozpląnęłabym się w powietrzu. Wtedy Janne lekko ścisnęła moją dłoń. - Nie denerwuj się z powodu tych głupich krów - powiedziała półgłosem. - Jeśli chcesz, podejdę do nich i powiem, żeby swoich ciekawskich nosów nie wtykały w nie swoje sprawy. Ale naprawdę one nie są nawet tego warte...

Potem kupiłyśmy bilety i poszukałyśmy swoich miejsc na sali. To był wspaniały wieczór. Jack Lemmon grał Josephine, Tony Curtis - Daphne, a Marilyn Monroe - Sugar, film był tak samo piękny i zabawny jak zawsze, a ja w ciemnej sali czułam się prawie zdrowa.

Kilka dni później Karlotta świętowała swoje szesnaste urodziny.

- Konstantin i ja przyjdziemy po ciebie o siódmej, ok? - powiedziała przez telefon Janne. Siedziałam w swoim pokoju na puszystym dywaniku, a Tygrysek mruczał mi na kolanach. Mój kocurek, który nie chciał uczyć się biegać ani skakać, najchętniej spał lub powoli, po omacku odkrywał okolicę. Najpewniej czuł się, kiedy leżało się z nim w łóżku albo siedziało na miękkim dywanie, gdzie mógł szaleć i wypróbować swoje pazurki. „Kochany, ślepy Tygrysek”.

- ok - odparłam. Karlotta powiedziała mi, że nie zaprosiła Anny na przyjęcie urodzinowe.

Jednak Anna przyszła. Właśnie siedziałam ze szklanką coca - coli w ręce, między Mają a Oezkanem w pokoju Karlotty, kiedy się zjawiała.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin - powiedziała do gospodyni, a ja aż drgnęłam. Wyobraziłam sobie, jak Frederik całował ją w Berlinie, a ona z całą pewnością

przytulała się do niego. Może szeptał jej też do ucha: „Anno, Anno, Anno”. Właściwie jaki miała kolor oczu? Wcześniej nigdy na to nie zwróciłam uwagi. Przysadzista koleżanka zawsze była mi dość obojętna albo najwyżej trochę uciążliwa, kiedy próbowała wkraść się między mnie a Janne. Nigdy nie sądziłam, że uczyni mnie tak nieszczęśliwą i że wobec niej będę się czuć tak bezradna. I upokorzona.

Zacisnęłam ręce w pięści i nie powiedziałam już ani słowa. Znow poczułam się odosobniona. A milcząc, nie miałam żadnej szansy kogokolwiek odnaleźć. Oezkan nie siedział już obok mnie, tylko ktoś inny, ale kto? Było za dużo głosów i grała za głośna muzyka, żebym mogła rozpoznać tę osobę.

Zrozpaczona wstałam nagle i chciałam uciec. Gdzie, do diabła, była Janne? Próbowałam ją znaleźć, ale bezskutecznie.

Zamiast na nią, natrafiłam w przedpokoju na starszego brata Karlotty. Miał ze sobą butelkę *ouzo*, którą podzielił się ze mną.

- Hej, słodka Leoniu - szepnął mi do ucha. - Całą wieczność nie widziałem twojego piegowatego nosa.

Manuel, brat Karlotty, miał już dziewiętnaście lat. Słabo pamiętałam jego twarz, ale wiedziałam, że był tak samo ładny jak jego młodsza siostra i w przeszłości zdobył raz tytuł mistrza juniorów Niemiec w kickboxingu.

Nie odpowiedziałam, jednak pozwoliłam mu się zaciągnąć do jego pokoju. - Nie bój się, poprowadzę cię - powiedział i objął mnie opiekuńczo. Potem wypiliśmy na spółkę butelkę *ouzo* i nagle dłoń Manuela znalazła się pod moim T - shirtem. Kręciło mi się w głowie i wyobraziłam sobie, że to jest ręka Frederika. Poczułam ją na piersiach. Nagle dotarło do mnie z jasnością błyskawicy, że to jest jednak ręka Manuela.

- Nie... - szepnęłam, wyswobadzając się z jego ramion.

- Chodź, troszkę się popieścimy... - wybełkotał chłopak.

- Nie, nie chcę! - jęknęłam.

- Powinnaś się cieszyć, że w ogóle coś od ciebie chcę, ty ślepoto - Manuel stał się nagle nieprzyjemny. Był chyba pijany.

Drżąc wstałam i uciekłam z jego pokoju. W głowie wszystko mi się kręciło. Zdenerwowana szukałam ubicacji i kiedy ją w końcu znalazłam, zwymiotowałam. Potem siedziałam na podłodze obok muszli klozetowej zmęczona, wyczerpana i upokorzona, jak ranny zwierz, który zaniechał walki o przeżycie.

Po dłuższej chwili po prostu zasnęłam.

Było już grubo po północy, kiedy mnie znaleźli. Tato Karlotty odwiózł mnie do domu.

Następnego ranka nie miałam ochoty wstawać. Czułam się okropnie zmęczona, wszystko sprawiało mi ból. Tygrysek pomiaukiwał mi przy twarzy, domagając się, bym go pogłaskała. Ja jednak nie byłam w stanie zrobić żadnego ruchu. Kilka razy do pokoju zaglądnęła mama.

- Leoniu, proszę, wstań wreszcie - naciskała.

Cały czas myślałam o tym, jak poszłam z Manuelem do jego pokoju, jak dałam mu się całować i dotykać. Dlaczego od razu nie zaprotestowałam? Dlaczego o wiele wcześniej nie uciekłam?

Czułam się brudna i ponizona.

„Powinnaś się cieszyć, że w ogóle coś od ciebie chcę, ty ślepoto...”

Mocny, jesienny deszcz bębnił o szyby. W którymś momencie usłyszałam, że dzwoni telefon i chwilę potem do mojego pokoju znów weszła mama.

- Leoniu, odbierz. Janne dzwoni - powiedziała, chcąc wcisnąć mi telefon bezprzewodowy do ręki.

- Nie mogę... - mruknęłam bezsilnie.

- To sama to powiedz Janne, do jasnej cholery - parsknęła z rozdrażnieniem, rzuciła telefon obok mnie na łóżko i wyszła, zamykając z hukiem za sobą drzwi. Drżąc sięgnęłam po słuchawkę i przyłożyłam ją do ucha.

- Leonia? - krzyknęła Janne.

- Hm... - zdobyłam się na odpowiedź.

- Leoniu, za trzy dni są urodziny Frederika i Sebastiana. Stuknie im osiemnastka. Słyszałam od Lary, że Anna chce zrobić Frederikowi niespodziankę i pojutrze wyjeżdża rano do Berlina.

Poczułam, że znowu zaczynam drżeć. - Dlaczego mi to mówisz? - spytałam w końcu prawie bezgłośnie.

- Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć - odparła krótko przyjaciółka.

- Dlaczego?

- Ponieważ to ty powinnaś do niego pojechać... Roześmiałam się na to. Mój śmiech zabrzmiał okropnie:

lekceważący, zły i trochę histeryczny.

- Wspaniały pomysł, Janne - parsknęłam w końcu ze złością, drżącymi palcami wyłączyłam telefon, po czym rzuciłam go przez niewidzialny pokój.

Niedługo po tym u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. To była Janne. Słyszałam, jak rozmawia z moją mamą, i zaraz potem idzie po schodach do góry, by w następnym

momencie stać już w moim pokoju.

- Leoniu! - krzyknęła ze złością, siadając z impetem na łóżku obok mnie. Nie poruszyłam się.

- Co tu się dzieje? - westchnęła po krótkiej chwili milczenia, potrząsając zniecierpliwiona moim ramieniem. - Twoja matka zachowuje się tak, jakbyś na powrót była w powijakach, a ty rzeczywiście zachowujesz się, jakbyś z nich jeszcze nie wyrosła... To naprawdę działa mi na nerwy!

- Nikt ci nie każe marnować ze mną czasu - odparłam wściekła, naciągając koc na głowę.

- Przyniosłam ci coś - powiedziała przyjaciółka, odgarniając koc do tyłu. Usłyszałam, jak otwiera pudełko i stuka sztucami oraz naczyniami.

- Otwierać buzię! - zakomenderowała nagle.

- Nie jestem głodna, a poza tym nie wezmę do ust czegoś, czego nie widzę i nie wiem, co to jest - powiedziałam, starając się, by ton głosu był stanowczy.

- To lody malinowe, tak zwane lody „Frederik i Leonia” - odparła cicho Janne, a delikatne stuknięcie zdradziło, że pucharek z lodami postawiła na moim biurku. - Do diabła, Leoniu, zacznij w końcu znowu żyć!

Po raz trzeci usłyszałam to zdanie, które zawsze doprowadzało mnie do białej gorączki. Jednak nie tym razem. Teraz usiadłam i wsparłam się na Janne.

- ok, zjedzmy razem lody malinowe - szepnęłam.

- ok - odpowiedziała z ulgą przyjaciółka. - A co potem, Leoniu?

Wzruszyłam ramionami.

- Zobaczymy... - odparłam w końcu, odgarniając z czoła opadający kosmyk włosów.

Najpierw opowiedziałam Janne o Manuelu, co zrobił i powiedział na imprezie u Karlotty.

- Co za obrzydliwy, odrażający dureń! - krzyknęła przyjaciółka. Niespodziewanie otwarły się na oścież drzwi od pokoju.

- Kto to? - spytałam przestraszona.

- Hobbes i Tygrysek - odparła ze zdumieniem Janne. - Wierz mi lub nie, Leoniu, ale Hobbes skoczył na klamkę, by otworzyć Tygryskowi drzwi.

- Hobbes? - powtórzyłam. Nigdy wcześniej tego nie robił. To, czego nikt z nas nie mógł dokonać, udało się małemu, bojaźliwemu kocurkowi: obłaskawił dużego, zgryźliwego Hobbesa. Bok przy boku przybiegli do mnie. Janne komentowała ich wejście jak rasowa dziennikarka sportowa, podczas gdy duży kot wskoczył, stękając, na parapet, Tygrysek wdrapał się ostrożnie na łóżko, do mnie.

- Leoniu, uważam, że powinnaś pojechać do Berlina, na urodziny Frederika. To samo powiedziałam twojej mamie - z tymi słowy przyjaciółka wcisnęła mi do ręki pucharek z lodami malinowymi. - Ona oczywiście bardzo się tym zdenerwowała i stwierdziła, że zupełnie mi odbiło.

Oparłam głowę o ścianę za plecami. - Bo to rzeczywiście zwariowany pomysł - odparłam przygnębiona. - Jak niby miałabym tam pojechać? A poza tym nie wiem, czy Frederik w ogóle chce o mnie słyszeć. Teraz, kiedy ma... Annę.

- Dowiesz się tego tylko wtedy, gdy się wreszcie z nim spotkasz - powiedziała zniecierpliwiona Janne.

- Czy pojechałabyś ze mną do Berlina? - spytałam niepewnie.

- Niestety, nie dam rady. Moja mama wyjeżdża jutro na resztę tygodnia, więc zostaję uwiązana z Emilią.

Emilia jest trzyletnią siostrzyczką Janne. - Może Siemen? - myślała głośno.

Pokręciłam przecząco głową. - Pojechał z Leną do Amsterdamu - mruknęłam.

- Cholera - wymknęło się przyjaciółce.

Obie milczałyśmy przez chwilę i jedynym odgłosem w pokoju było mruczenie kotów.

Hobbes, który do tej pory rzadko mruczał, wydawał głębokie niewyraźne pomruki, podczas gdy Tygrysek mruczał delikatnie i miękko, właśnie jak małe kiciusie. Brzmiało to ślicznie i spokojnie. Przez chwilę głaskałam opuszkami palców jego drobniutką bródkę.

- Janne, pojedę więc sama! - powiedziałam zdecydowanie i wygramoliłam się z łóżka.

Przyjaciółka nic nie odpowiedziała, wstała jedynie i oparła czoło o moje. Potem poszliśmy razem do łazienki.

- Mogę podciąć ci trochę włosy - zaproponowała. - Są już trochę za długie.

Skinęłam głową przytakująco, a Janne zabrała się do dzieła, ścinając mi włosy na króciutko. Przejechałam je palcami i zmarszczyłam czoło.

- Pasują mi takie krótkie? - spytałam nieufnie.

- Jasne - odparła przyjaciółka. - Jeśli je jeszcze ufarbujemy na blond, będziesz wyglądać jak Annie Lennox.

A ponieważ nie miałyśmy w domu żadnej farby do włosów, wyszłyśmy ją kupić. Wałęsałyśmy się aleją Brentano i tym razem czułam się zbyt podekscytowana, by coś zdołało mnie przygnębić. Weszłyśmy do supermarketu, w którym ćwiczyłam z Lailą samodzielne zakupy, i kupiłyśmy saszetkę kremu koloryzującego.

Mama zobaczyła mnie po farbowaniu dopiero wieczorem, kiedy razem z Janne zeszłyśmy na kolację.

- Leoniu, wyglądasz prześlicznie! - krzyknęła po angielsku i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jej głos nie zdradzał smutku ani napięcia. Janne szturchnęła mnie pod stołem w nogę.

- A nie mówiłam? - szepnęła z zadowoleniem.

Została u mnie na noc. Prawie nie spałyśmy, bo miałyśmy wiele spraw do omówienia. Następnego ranka byłam tak zdenerwowana, że nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

- Rodzice wyjdą z siebie, kiedy odkryją, że sama jak palec pojechałam do Berlina - szepnęłam nerwowo do Janne.

- Wszystko im wytłumaczę - odparła przyjaciółka, ściskając moją zimną dłoń.

- Nawet nie wiem, czy Frederik ucieszy się na mój widok - mruknęłam przygnębiona. Najchętniej z powrotem ukryłabym się w łóżku, ale tam leżeli już zgodnie Hobbes z Tygrysiem i smacznie spali.

Pogłaskałam ich więc jedynie po grzbiecie i wskoczyłam w swoje fajne dzinsy z liliowym wzorem kwiatowym i w wąski, czarny sweter. Następnie założyłam na nogi trampki w tygrysi motyw i sięgnęłam po okulary przeciwsłoneczne w stylu Blues - Brothers.

- Tutaj masz Barta Simpsona - Janne wcisnęła mi do ręki kolczyk.

Skinęłam głową i założyłam zwariowany kolczyk.

- Jak wyglądam? - spytałam.

- Ślicznie, naprawdę ślicznie - odparła przyjaciółka i podała mi zapakowaną torbę podróżną.

Potem wymknęłyśmy się z domu i pojechałyśmy taksówką na dworzec kolejowy. Janne pomogła mi kupić bilet i zaprowadziła na peron.

Drżąc, wsiadłam do pociągu.

- Do zobaczenia za trzy dni, Leoniu! - krzyknęła Janne. - Uważaj na siebie...

Teraz jej głos zdradzał zaniepokojenie. W następnej chwili drzwi pociągu zatrzasnęły się i zostałam sama.

Czułam się dziwnie, podróżując przez niewidzialny świat. Nie mogłam nic jeść ani pić. Po prostu przerażona siedziałam sztywno na swoim miejscu, mimo to nie było aż tak źle.

Już w tamtej chwili coś przecież osiągnęłam. Od czasu do czasu macałam na rękę swój zegarek dla niewidomych, a pociąg zatrzymywał się co jakiś czas na kolejnej stacji.

W końcu podróż dobiegła końca. Ostrożnie wyszłam na peron. Kobieta, która przez ostatnie godziny siedziała obok mnie w przedziale, zaprowadziła mnie na postój taksówek przed dworcem kolejowym.

Z bijącym sercem podziękowałam jej za pomoc, wgramoliłam się do taksówki i podałam taksówkarzowi adres Frederika.

Jechałam przez niewidzialne ulice i części miasta, aż wreszcie samochód się zatrzymał.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił taksówkarz, zaciągając ręczny hamulec. Podałam mu banknot pięćdziesięciomarkowy, a resztę schowałam do kieszeni spodni. .

- Czy mógłby pan jeszcze zaprowadzić mnie pod dom i wskazać odpowiedni dzwonek do drzwi? - poprosiłam.

- Nie ma sprawy - odparł kierowca i już po chwili oboje podeszliśmy pod budynek, w którym wraz ze swoimi rodzicami mieszkali Frederik i Sebastian.

Zdenerwowana nacisnęłam dzwonek. Kiedy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi, weszłam do środka. Byłam tu już wcześniej, dlatego wiedziałam, że Frederik mieszka na ostatnim piętrze. Powoli i ostrożnie pokonywałam stopnie schodów.

Kogo zastanę tam u góry przy drzwiach mieszkania? Znów naszły mnie czarne myśli. Co tu właściwie robię? Tak jakby Frederik nie miał dziś nic lepszego do roboty, tylko zajmować się niewidomą dziewczyną, która kiedyś mu się podobała z powodu swoich oczu zielonych jak szmaragdy.

W końcu dotarłam do celu - i w tej chwili wiedziałam już, kto stoi przy drzwiach i spogląda na mnie. Na klatce schodowej panowała absolutna cisza.

- Jestem, Frederik - powiedziałam cichutko i oparłam się o poręcz. Nagle strasznie zakręciło mi się w głowie. Ze strachu, z niepokoju, zakłopotania i tęsknoty.

- Leoniu... - usłyszałam. - Kochana, śliczna Leoniu. Frederik zamilkł. Ja też nic nie mówiłam. I tak staliśmy tam bez ruchu. Wydawało mi się, że minęła wieczność. Potem poczułam, że Frederik podchodzi do mnie.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mi cię brakowało. Byłem bliski obłędu z tęsknoty za tobą - szepnął, a ja czekałam, żeby mnie objął i przytulił, ale on tego nie uczynił. Stał jednak tak blisko, że czułam jego oddech na twarzy. Zrobiłam nieporadny, ostrożny krok w jego stronę i zarzuciłam mu ręce na szyję.

Wtedy powiedział: - Leoniu, Leoniu, Leoniu...

EPILOG

Potajemna podróż Leonii okazała się punktem zwrotnym w jej życiu. Po raz pierwszy jako niewidoma dokonała czegoś zupełnie sama. W domu oczywiście nastąpiły godziny grozy, kiedy do jej mamy dotarło, co się stało, i zrozumiała, że jej córka w tej chwili zdana tylko na siebie samą siedzi w pociągu w drodze do Berlina.

Mimo to Leonia została u Frederika przez cały tydzień i razem z nim, jego rodziną i przyjaciółmi świętowała jego osiemnastkę.

Wtedy poznała też niewidomą dziewczynę Sebastiana, z którą się zaprzyjaźniła. Dzięki niej coraz odważniej przekraczała kolejne granice, wychodząc ze swej ciemnej skorupy.

- Naprawdę jesteś taka sama jak zawsze - powiedział jej Frederik podczas pierwszego wieczoru, kiedy się spotkali, a w jego głosie brzmiała ulga. Mówiąc to, chłopak wodził delikatnie opuszkami palców po czole Leonii, jej brwiach i reszcie twarzy. W pewnej chwili dotknął ostrożnie jej powiek.

- Leonia o najdłuższych na świecie rzęsach - szepnął. Dziewczyna zaczęła płakać.

- Powiedz jeszcze raz: „Leonia o oczach zielonych jak szmaragdy” - poprosiła go w końcu.

- Leonia o oczach zielonych jak szmaragdy - chłopak spełnił jej prośbę.

- Tak pięknie to brzmi - powiedziała Leonia.

- Masz rację - odparł Frederik i pocałował ją.

Nadał są parę. Leonia tego lata zdała maturę, a Frederik studiuje w Berlinie architekturę. Jego brat, który obecnie już nic nie widzi, również studiuje w tym samym mieście. Chce zostać w przyszłości psychologiem.

Leonia całkiem nieźle radzi sobie Już z pismem i komputerem dla niewidomych, ale wciąż jeszcze bywają chwile, kiedy czuje się bardzo załamana z powodu swojej ułomności i wynikających z niej trudności. Planowała po maturze wyjechać na rok do Ameryki, ale na razie z tego zrezygnowała.

Obecnie przygotowuje się do przeprowadzki do Berlina. Sporo czasu spędza też, grając na saksofonie. Często spotyka się z Mette i jej matką, w której warsztacie pracuje nad rzeźbą niemal dorównującą jej swoimi rozmiarami. Nie przedstawia ona ani człowieka, ani zwierzęcia, ani też rośliny.

- Co to ma być za dziwoląg? - zapytał raz nieufnie Siemen, kiedy odwiedził Leonię w pracowni.

- Rzeźba przedstawia to, co istnieje tylko w mojej głowie - odparła dziewczyna.

- Czyli nie będzie to nic, co pamiętam z wcześniejszych lat, nic, co kiedyś zobaczyłam. Ta rzeźba to wymysł moich myśli, rąk i uczuć...

- Zwariowana ślepa kura - tak to skwitował Siemen.

Tymczasem zmarło się staremu Hobbesowi, a Tygrysek wyrósł na dużego, ostrożnie stąpającego kocura. Z kotką w czarno - białe łaty z sąsiedztwa doczekał się potomstwa. I znów jedno kociątko nie otworzyło ślepek. Był to kotek czarny jak smoła.

- Wygląda to na chorobę dziedziczną - oświadczył weterynarz. Tego ślepego kociaka Leonia sprezentowała Sebastianowi i Lizie, jego dziewczynce.

Odwiedzili oni ją wraz z Frederikiem kilka tygodni wcześniej. We czwórkę wybrali się z ciekawości do nowego domu kultury, w którym znajduje się knajpka spowita mrokiem. Osoby z sokolim wzrokiem jak niewidome składają kelnerom zamówienia i rozmawiają ze znajomymi w ciemności. Tam właśnie Leonia poznała Jorita, dziesięcioletka, który pracuje w tej kawiarence jako kelner i który jest niewidomy od urodzenia.

Jorit zakochał się w niej.

- Chyba się przestyszałem - powiedział przestraszony Frederik, kiedy Leonia opowiedziała mu, jakie uczucia żywi do niej Jorit. Doszło wtedy po raz pierwszy do prawdziwej kłótni między Leonią a jej chłopakiem.

- Nie zniosę tego! - parsknął Frederik.

- Ale on nic dla mnie nie znaczy - odparła zdenerwowana dziewczyna.

- Juz od pewnego czasu cię podrywa, ciągle cię obejmuję, głaszcze po twarzy, włosach - powiedział, strząsając rękę Leonii. - Do diabła, pamiętasz jeszcze, jak znaleźliśmy razem rannego lisa? A naszą zwariowaną tamę, zalane pole kukurydzy i zlorzeczającego rolnika?

- Tak, ciągle to jeszcze pamiętam - odparła Leonia, opierając głowę na ramieniu Frederika.

- Boże, jak ja cię kocham! - szepnął. - Chyba bym oszalał z rozpaczy, gdybyś rzuciła mnie dla tego ślepego głupca...

- On nie jest głupcem - powiedziała dziewczyna, całując swojego chłopaka w czubek nosa. - Kocham jednak tylko ciebie, tego możesz być pewien...